

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOLECZNO-LITERACKIE

Wzywamy do dyskusji

Dlaczego I rok źle się uczy?

Od pierwszych dni sesji egzaminacyjnej dostawaliśmy z wszystkich niemal uczelni meldunki, mówiące, że wyniki egzaminów są na ogół lepsze niż w latach ubiegłych. Ale dotyczy to przede wszystkim lat wyższych, gdyż na I roku sprawa przedstawia się inaczej. Z różnych środowisk i uczelni różnego typu otrzymujemy alarmujące sygnały, że I rok wypadł najslabiej, o wiele gorzej niż lata wyższe.

W Olsztynie na pierwszym roku wydz. mleczarskiego 20 proc. studentów nie zdało egzaminów, a np. w pierwszej grupie I roku wydz. rybackiego na 18 zdających, 10 osób „oblatło”...

„Błyskawica” Politechniki Krakowskiej informuje, że w grupach I roku na egzaminie z matematyki wielu studentów uzyskuje oceny niedostateczne...

Nie lepiej dzieje się na WSE w Poznaniu, gdzie jak donosi nasza korespondentka „Studenta I roku po egzaminie nie pyta się jak zdałeś, tylko czy zdałeś? Średnie wyniki dla I roku są mniej niż dostateczne”...

Na wydziale lekarskim krakowskiej AM na 274 studentów, 89 nie zdało egzaminu z chemii, a na wydziale stomatologiczno - lekarskim było 183 ocen niedostatecznych...

Nie spał się również I rok prawa UJ, gdzie egzaminu z logiki nie zdało 45 proc.

Na WSR we Wrocławiu 30 proc. pierwszorzeczniaków otrzymało z fizyki oceny niedostateczne...

Również bardzo słabo wypadł na SGPiS egzamin z historii gospodarczej...

Na Uniwersytecie Poznańskim 10 studentów I roku nie zostało w ogóle dopuszczonych do egzaminu z chemii...

Przykładów takich można by przytaczać bardzo wiele. Ale nie w tym rzecz, aby wyliczyć ich jak najwięcej. Jedno jest pewne — wszystkie te fakty świadczą o tym, że wyniki uzyskane przez pierwszorzeczniaków w ostatniej sesji są niezadowolające. Jakże są tego przyczyny?

Kol. Stanisław Lewandowski z Olsztyna główną przyczynę widzi w niewłaściwej rekrutacji kandydatów na studia rolnicze i sądzi, że na WSR dostała się również taka młodzież, którą zagadnienia rolnictwa wcale nie interesują.

Kol. Weiss z WSE Poznań stwierdza, że młodzież po szkołach średnich ma dużo braków, które nie pozwalają jej osiągnąć dobrych wyników.

Ciekawymi spostrzeżeniami dzieli się z nami kol. Józefa Kramer z Poznania, wskazując na podniesienie się poziomu nauczania i na wzrost wymagań profesorów. Piśsze ona: „W ubiegłym roku według wspomnień ówczesnego pierwszego roku trudno było nie zdać.

Dość naprawdę trudno jest zdać bez rzetelnego przygotowania i umiejętności kojarzenia nabytych wiadomości. A właśnie I rok tej umiejętności nie posiada”.

Kol. Franciszek Niedosiał z Krakowa podaje dwie przyczyny „Po pierwsze — niewykorzystanie miesiąca września przez władze uczelni dla metodycznego przygotowania studentów do przyswajania sobie wiedzy na studiach, oraz do zlikwidowania zaległości wymiesionych ze szkół średnich; a po drugie — organizacja zetempowska nie zawsze należyście kierowała pracą pierwszorzeczniaków.

Kol. Bartoszewicz z IV grupy I roku wydz. handlowego SGPiS przyznał samokrytycznie, że członkowie jej grupy nie umieli się uczyć np. historii gospodarczej: gubili się w masie faktów, nie potrafili rozróżnić hierarchii ich ważności, nie uczyli się systematycznie lecz w ostatniej chwili bezmyślnie i chaotycznie kuli.

Nasi korespondenci widzą więc wiele przyczyn i to różnych. Ale czy są to wszystkie i te najważniejsze? I co najistotniejsze — czy wystarczy je tak lakonicznie wymienić, czy nie należałoby szerzej zastanowić się nad przyczynami braków w pracy pierwszorzeczniaków?

Przecież braki te poważnie zagrażają planom produkcyjnym naszych uczelni. A skoro sytuacja na latach pierwszych jest poważna — trzeba i warto zastanowić się nad nią. Warto zastanowić się nie tylko nad przyczynami złej pracy pierwszorzeczniaków, ale co najważniejsze — nad środkami polepszenia tej pracy. Bo trzeba wyświecić sobie, co robić, żeby następna sesja I roku dała już o wiele lepsze, zadowolające wyniki.

Na pewno czytelnicy mają na ten temat różne uwagi, a wymiana takich uwag oraz doświadczeń może wiele pomóc zarówno w pracy z pierwszorzeczniakami jak i samym pierwszorzeczniakom w ich nauce. Dlatego pragniemy rozpocząć na łamach pisma dyskusję na temat: dlaczego I rok źle się uczy i co robić dla polepszenia jego pracy. W dyskusji tej chcielibyśmy wykorzystywać głosy zarówno naukowców (przede wszystkim wykładowców oraz asystentów i opiekunów I roku) jak również studentów, a szczególnie aktywów lat pierwszych. Oczekujemy więc wypowiedzi, które zaczniemy publikować już w najbliższych numerach POPROSTU.

RYSZARD WIŚNIEWSKI

POMYŁKA

Czekal na ten telefon niecierpliwie. Tym bardziej zaskoczył go zimny i oficjalny ton jej głosu: — Jak sesja?

— Normalnie, zdaje się. Właśnie dzisiaj mogliśmy...

— Lepiej byś się uczył — przerwała.

— Ale...

— Ucz się... rozumiesz.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, wytłumaczyć, lecz odłożyła słuchawkę. Co się stało? Przebiegł szybko myślą ostatnie spotkanie i okres ostatnich kilku dni. Nie znalazł nic co by wyjaśniło wyraźną pretensję w głosie Jadzi, która odłożeniem słuchawki przekreśliła plany na dzisiejszy wieczór.

Zagadka wyjaśniła się w kilka godzin później, gdy któryś z kolegów spytał go, czy słyszał audycję o sobie przez radio i dodał jeszcze z ubolewaniem — ale was przerebili, ciebie, Reissmanna, Rudzińskiego...

— To jest w ogóle granda i trzeba zrobić sprostowanie! Jak wy pracujecie! — denerwował się w ZU ZMP Politechniki Gdańskiej kolega Reissman. Myśmy tu już napisali, a wy musicie potwierdzić. My musimy dojść kto winien!

Kto winien, że systemem lańcuszkowym pomyłka dotarła do radia gdańskiego, które ogłosiło nazwiska kilku studentów II roku wydz. elektrycznego Politechniki jako bumelantów i dezertów, którzy obniżają poziom swej uczy. Wśród burzliwej dyskusji ustalono poszczególne ognia.

A więc radio otrzymało materiał z ZW ZMP ze sprawozdania o przebiegu sesji, które nadesłał Zarząd Uczelniany. Do sprawozdania dostał się ten materiał z artykułu kol. Pierzaka w gazecie uczelnianej. Artykuł zaś został napisany na podstawie pracy komisji, która stwierdziła, że w dzień przed sesją wymienieni koledzy wyjechali.

Jeżeli dodać jeszcze komentarze, jakimi ten fakt obdarzali poszczególne ognia pośrednie między komisją, a radiem, staje się jasne, jak słuszne było oburzenie poszkodowanych, którzy w czasie „komisji” wyjechali... na trening AZS-u do Sopotu, a sesję zaliczyli w terminie i z pomyślnym wynikiem.

A więc kto winien? Ustalono, że przewodniczący komisji a zarazem autor artykułu, kolega Pierzak, no i organizacja, która nie wiadomo do

czego się przyczepia, szuka do sprawozdania bumelantów, a ludzi nie zna.

NAJGORSZE KOŁO

Na tym można by zakończyć i zrehabilitować ofiary nieszczęsnej pomyłki. Znalezione przecież winnych. Jednak przyczyna pomyłki leży o wiele głębiej i nie została wyjaśniona. Ograniczono się do dochodzeń personalnych i ogólnych wniosków pod adresem organizacji.

Z kilku sformułowań i epitetów, jakimi przy okazji została obdarzona organizacja i jej aktyw, nasuwa się przypuszczenie, że nie najlepiej dzieje się w kole ZMP II roku wydz. elektrycznego.

Już w tonie polemiki, jaka toczyła się w ZU MP między kol. Reissmanem a instruktorami, dał się wyczuć dystans między nim a organizacją, mimo że jest przecież jej członkiem i to nie od kilku dni. Reissman to „stary” ZMP-owiec. Tymczasem o swojej organizacji mówi, jakby o sobie nie miał w niej udziału, jak o czymś co ktoś robi, ktoś inny kieruje, ktoś popełnia błędy, ktoś nie robi zebrań... i w ogóle to robota leży. Ale co go to wszystko obchodzi? Nie jego sprawa. Nie jest aktywistą, więc nie miesza się do ich spraw. Wstarczy, że jest aktywnym sportowcem.

Trudno mieć nawet żal specjalnie do niego. Podobny stosunek cechuje wielu kolegów tego koła, którzy nie pełnią „funkcji”, jak również i tych, którzy pełnią ją poza kołem. W rezultacie zarząd koła pracuje sam. A właściwie usiłuje pracować. Bo co może zdziałać, pozostawiony sam sobie, pozbawiony aktywnego udziału koła w swych zamierzeniach. Ogranicza się więc do realizowania wytycznych, wyznaczania, typowania, organizowania zebrań... które się z zasady nie udają.

Od początku roku właściwie nie się nie udaje.

Inne koła żyją własnym życiem, swoimi sprawami, a tutaj tylko instrukcje i praca — jałowa, bezbarwna. Brak śmiałej inicjatywy i samodzielnych poczynań. Tak jest zawsze, gdy każdy zetempowiec nie czuje się odpowiedzialny za cały kolektyw, a widzi organizację tylko wtedy, gdy ta zainteresuje się bezpośrednio jego osobą.

GDZIE AMBICJA?

— To jest najgorsze koło — odpowiada każdy zapytany. Najgorsze koło? Człowiek ambitny, gdy ktoś mu słusznie zarzuci, że źle (Dokończenie na str. 5-ej)



5 marca 1954 roku mija pierwsza rocznica śmierci JÓZEFA STALINA wielkiego przyjaciela i wychowawcy młodzieży

Robotnik czyta Stalina

Ujmuje książkę w spracowane dłonie I wolno stronę odwraca po stronie, Jak gdyby chciał je pamiętać na zawsze I zdaje mu się, że światło zabłysło, Aby ukazać prawdę, jasną, ścisłą, I związek rzeczy, których nie dostrzegał. Czyta bez przerwy, nie patrzy na zegar, Czasami tylko pyka swoją fajkę. Od kartek książki nie odrywa wzroku, Jakby zaklęty przez słowa, co z mroku Prowadzą w jasność, a zmarszczki głębokie Złobią mu skronie, gdy czyta, rozmyśla I waży w sobie wszystkie za i przeciw. Ta wolność, którą śpiewają poeci,

Przenika serce, szeroko otwarte Dla świata nowych ludzi i prawd nowych, Dostępnych dzisiaj jego rozumowi.

Nie tylko tutaj światło wiedzy płonie, I kiedy nocą widzisz oświetlone Tysiące okien w miastach, wiedz — tam człowiek Kształci swój umysł, uczy się pojmuwać Codziennej walki treść. Pieczołowicie Cegłę po cegle kładzie, aby życie Zbudować nowe, gmach przyszłości wzniesić.

WOLFGANG NEUHAUS
górnik - poeta

Studenci Berlina w czasie konferencji czterech

(Korespondencja własna)

W odległości około 300 metrów od gmachu naszego uniwersytetu, przy starzej reprezentacyjnej ulicy „Unter den Linden” — jednej z głównych arterii komunikacyjnych demokratycznego Berlina — widnieją mury Ambasady Radzieckiej, gdzie znajduje się siedziba Wysokiego Komisarza ZSRR. Budynek ten, wzniesiony według radzieckich projektów, jest arcydziełem socjalistycznej architektury.

W związku z rozpoczęciem się drugiego tygodnia obrad czterech mocarstw, wywieziono w dniu 1 lutego 1954 roku na centralnej wieży budynku flagi Związku Radzieckiego, Francji, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Studenci Uniwersytetu Berlińskiego, śledzący z wielkim zainteresowaniem przebieg konferencji, a zwłaszcza niezachowaną inicjatywę pokojową towarzysza W. M. Molotowa, od początku popierali żądanie dopuszczenia przedstawicieli niemieckich na konferencję, zgodnie z wolą blisko 11 milionów mieszkańców NRD i wszystkich uczuciowych Niemców w państwie bolskim. Aktywność polityczna studentów naszego wydziału prawnego nabrała w tych dniach niebywałego rozmachu; agitatores FDJ i partyni codziennie dyskutowali wyniki konferencji. Nigdy jeszcze organizacja partyjna nie była tak mocno związana z naszymi masami studenckimi, jak obecnie. W dniu otwarcia konferencji i w ciągu dni następnych, odbyły się we wszystkich grupach otwarte zebrania partyjne; nie było prawie studenta, który by w nich nie brał udziału. Byłem obecny na pewnym zebraniu, na którym wśród gora-

cych dyskusji kilku studentów — zresztą w dobrej wierze — przytoczyło argumenty, podstępnie im przez wroga; były to jednakże tylko pojedyncze wypadki.

Dość na całym wydziale nie ma ani jednego studenta, który by ulegał wpływowi fałszywych, wrogich poglądów. Wszyscy z napiętą uwagą śledzili przebieg konferencji, trzeźwo oceniając jej wyniki. W toku dyskusji z ludnością z głębokim oburzeniem wypowiadali się przeciwko zleniawionemu „no” Dullesa i z całego serca popierali propozycje radzieckie.

Jaką działalnością wykazały się społeczne organizacje Uniwersytetu Berlińskiego im. Humbolda w związku z konferencją czterech mocarstw? Opowiem tu o akcjach przeprowadzonych przez wydział prawa, na którym studiuję. Działaliśmy na dwóch terenach: na terenie wydziału i wśród ludności Berlina. Nasz wydział wydaje pięć gazetek ściennych, między innymi organ Partii pt. „Towarzysz” i organ FDJ „Student - demokrata”. Obie te gazetki, jak również gazetka Związków Zawodowych, zamieszczały bieżąco, od dnia rozpoczęcia się konferencji, wypowiedzi studentów i pracowników naukowych, którzy dawali wyraz swoim nadziejom co do wyników konferencji, wypowiadali swoje zdanie o przebiegu obrad lub swe poglądy na temat przyszłego oblicza zjednoczonych Niemiec. Na szczególną uwagę zasługiwały szeroki zasięg tej formy agitacji. Wypowiadali się wszyscy: młodzi członkowie partii chześcijańsko - demokratycznej, partii mieszczańskiej - demokratycznej, bezpartyjni i towarzysze z SED. Inna gazetka ścienna publikowała codziennie sprawozdania

z przebiegu konferencji, udaremniając w ten sposób wroga agitację, która czarne przemalowyje na białe.

Na zorganizowanych przez FDJ polityczno - informacyjnych seminariach, odbywających się raz na tydzień, agitatores omawiali posunięcia delegacji radzieckiej wyrażające studentom sprawy niejasne i przedstawiając naszym sympatykom argumenty, które są podstawą naszych dyskusji z ludnością. Argumenty nasze spotykały się z powszechnym zrozumieniem, gdyż stanowisko delegacji radzieckiej odzwierciedlało najgorętsze życzenia i interesy całego narodu niemieckiego.

Front Narodowy przydzielił nam pewien odcinek ulicy, położonej w robotniczej dzielnicy berlińskiego centrum. Niedawno przeszło 100 agitatorów z naszego wydziału wybrało się do mieszkańców domów oddanych pod naszą opiekę, aby porozmawiać z nimi o znaczeniu konferencji i przekonać ich o słuszności stanowiska radzieckich przedstawicieli. Jakkolwiek nie wyszliśmy wszystkich możliwości, np. przeszło 80 mieszkańców z jednego tylko domu złożyło w ciągu niecałej godziny swoje podpisy pod apelem skierowanym do czterech ministrów. Nasi studenci, którzy pomagali patriotom z zachodniego Berlina w akcji uświadamiania, stwierdzili, że radzieckie propozycje pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego znajdują poparcie wśród najszerszych mas pracujących zachodniego Berlina. Gdy w pobliżu wielkich zachodnio-berlińskich zakładów Siemens rozrzucał ulotki z oświadczeniem Molotowa, zainteresowanie nimi wśród robotników Siemensu było tak wielkie, że

po prostu wyrwali naszym studentom ulotki z rąk.

Nam pokazało to jakie fiasko ponoszą zwolennicy Adenauera promieniący z zadowolenia na wieść, że John Foster Dulles ponownie odpowiedział „no” na jasne i konstruktywne propozycje radzieckie. Odgrzewają teraz znów starą hecę odwetową i bredzą o rewizji granic na Odrze i Nysie, aby odwrócić uwagę narodu niemieckiego od propozycji radzieckich zmierzających do zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Nasylają do naszej republiki agentów i sabotażystów, podpalaczy i morderców, aby zakłócić pokojową pracę naszego narodu.

Podczas pewnego zebrania jeden z towarzyszy przytoczył znane zdanie z chińskiej rewolucji. Kiedy lotnicy Kuomintangu rozrzucał nad wyzwolonym obszarem Chin ulotki, w których lżono Mao Tse-tunga, towarzysze Mao kazali je zebrać, gdyż brak papieru dawał się wówczas poważnie we znaki. „Barykada ma tylko dwie strony. Mao Tse-tung” i rzucić je nad terytorium kuomintangowskim. W tych historycznych dniach konferencji berlińskiej my, niemieccy studenci, jeszcze raz uświadomiliśmy sobie prawdę tych słów. Bo interes narodu niemieckiego — pokój i zjednoczenie — jest tylko jeden. A ci, którzy tak jak lokaj imperializmu Adenauer próbują się przeciwstawić narodowi, muszą w końcu ponieść smrotną klęskę. Naród niemiecki wie, że jego słuszne postulaty są popierane przez naród polski i światowy obóz pokoju i to wzmacnia naszą siłę.

Nasza sprawa jest słuszna, więc zwyciężymy.

KLAUS STEINIGER
stud. wydz. prawa Uniwersytetu im. Humbolda w Berlinie,

Nauka Stalina żyje i zwycięża

Któż z nas nie marzy o tym, aby dokonać w życiu czegoś wielkiego, pięknego. Aby żyć pełnią życia, czuć radość i wartość swego trudu, odczuwać swą przynależność do społeczeństwa, mieć świadomość, że wykonujemy wielką, potrzebną wszystkim pracę. Czasami są to marzenia, by zadziwić świat niezwykłym czynem, stać się bohaterem. Ale najczęściej marzenia nasze przybierają kształt bardziej realny — sens i radość życia widzimy nie w niezwykłości i „wielkiej przygodzie”. Chcemy, aby życie codzienne, zwykłe dało nam jak najwięcej i abyśmy w tym życiu potrafili dać z siebie maksimum tego, na co nas stać.

Lecz żeby tak właśnie żyć — marzyć i tworzyć — trzeba nad sobą wiele pracować. Sprawa to niełatwa. Szukamy wtedy wzorów do naśladowania, szukamy wskazówek, co robić, aby być takim właśnie człowiekiem — komunistą.

I wtedy sięgamy zawsze do niezawodnej i niewyczerpanej skarbnicy, która stała się od dawna natchnieniem „ludzi szczególnego pokroju” — do dzieł klasyków marksizmu-leninizmu. Sięgamy do nauk i wskazań partii, która nauczyła ludzi walczyć i zwyciężać, która przywróciła im godność i stała się sumieniem swej epoki. Ta partia to KPZR, partia Lenina i Stalina, partia, która wykuła drogę, stała się natchnieniem i wzorem dla rewolucjonistów wszystkich krajów. Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, stworzona i kierowana przez swych wielkich wodzów, wychowała w swych szeregach ludzi, którzy swym przykładem uczą nas jak można i trzeba żyć — życiem głębokim, życiem prawdziwym, godnym naszych wielkich czasów.

Rewolucyjne doświadczenie tej partii przekazują nam w swych dziełach jej wielcy wodzowie: Lenin i Stalin.

Mija właśnie rok od śmierci wielkiego kontynuatora leninowskiego dzieła — Józefa Stalina.

W swym przemówieniu na wiecu żałobnym w Moskwie towarzyszył Molotow powiedział: „Stalin poświęcił się bez reszty, poświęcił swe życie walce o komunizm, ofiarnej

walce o szczęście mas pracujących, o szczęście ludu”.

A sam Stalin mówił w roku 1929 o swoim życiu w taki oto właściwy sobie prosty i skromny, ale zdecydowany i pryncypialny sposób: „Możecie nie wątpić towarzysze, że i nadal gotów jestem oddać sprawę klasy robotniczej, sprawę rewolucji proletariackiej i światowego komunizmu wszystkie swoje siły, wszystkie zdolności, a jeśli zajdzie potrzeba, wszystką krew swoją, kropkę po kropkę”. I mówił także Stalin o sobie ze wzruszającą skromnością: „Co się tyczy mnie, to jestem tylko uczniem Lenina i celem mojego życia jest być godnym jego uczniem”.

I zawsze, mówiąc o obliczu moralnym i ideowym nowego człowieka, Stalin stawiał za wzór życie i działalność wielkiego Lenina.

Podkreślał te cechy Lenina, do przyswojenia których dążyć powinien każdy młody człowiek. Cechy te to: nadzwyczajna siła przekonywania, wyjątkowy hart i wytrwałość w okresach niepowodzeń i porażek, umiejętność twórczej oceny sił przeciwnika i nie upajania się sukcesami, umiejętność dalekowzrocznego, trafnego przewidywania, bezgraniczna wiara w twórcze siły mas ludowych, prostota i skromność.

Mówiąc o komunistycznym wychowaniu młodzieży, Stalin wiele, niesłychanie wiele uwagi poświęcił ukształtowaniu takich cech moralnych, jak patriotyzm i internacjonalizm. Ujawnił nową, wyższą treść patriotyzmu w warunkach społeczeństwa socjalistycznego, wskazał partii i komсомолови konkretne drogi i metody kształtowania tej podstawowej siły narodowej rozwoju społeczeństwa socjalistycznego.

Wiele uwagi poświęcił Stalin w swych pracach kwestii stosunku do pracy. Nie poprzestaje przy tym na wykazywaniu jedynie roli i znaczenia pracy w budownictwie socjalistycznym. Ujawnia, akcentuje ustawicznie wychowawcze oddziaływanie pracy w procesie kształtowania charakteru człowieka. Wskazuje, że tylko w toku pracy, działalności praktycznej można uformować i utrwalic takie cenne walory charakteru jak dzielność, umiejętność przewidywania trudności, doprowadzania spraw do końca, poczucie nowego, rzeczowość.

Poznajmy się nieco bliżej z tymi ostatnimi dwiema cechami — dla nas, młodzieży studenckiej szczególnie ważnymi.

Stalin wielokrotnie podkreślał, że poczucie nowego, to drogocenna cecha komunistów, najbardziej przodujących ludzi naszych czasów. Umiejętność wyczuwania tego co nowe — tak potrzebna szczególnie każdemu kierownikowi w jakiegokolwiek z dziedzin naszego życia — zawiera w sobie, zabezpiecza ukształtowanie takich właściwości jak śmiałość, stanowczość, wynalazczość i nowatorstwo — a zarazem pobudza i wyostża groźbę w stosunku do konserwatyzmu, skostnienia, rutyny, zastojów myśli, samospokojenia i samozadowolenia. Nieprzypadkowo Stalin akcentował szczególnie te właściwości, zwracając się do ludzi nauki, do studentów — nie trzeba dowodzić jak wielkie znaczenie mają te wskazania dla nas, przyszłych kierowników procesu produkcji.

Niemniejże znaczenie ma stanowczo postulowana przez wielkiego nauczyciela i wychowawcę wielu pokoleń młodzieży radzieckiej — rzeczowość.

Społeczeństwu socjalistycznemu potrzebni są nie rezerwy i scholastyki, bezpłodni marzyciele, ale ludzie znający głęboko swoją dziedzinę wiedzy i umiejący stosować ją w praktyce, dla dobra człowieka.

Stalin uczy jednocześnie, że jednym z zasadniczych środków wychowania w duchu moralności komunistycznej jest uzbrojenie wychowawców i wychowywanych w oręż ideologii marksistowskiej. Uczy, że w naszych czasach można wykucć szlachetne cechy charakteru, piękne zalety moralne, żyć wielkim życiem — tylko pod warunkiem gruntownej znajomości i stosowania w życiu zasad ideologii marksistowskiej.

Jak uczy partia, jednym z najistotniejszych środków wychowania komunistycznego jest metoda krytyki i samokrytyki. Metodę tę rozpatruje się zawsze jako niezbędny czynnik wychowania. Rozwinięcie i rozszerzenie samokrytyki jest nieodzownym warunkiem pogłębienia i uintensyfikowania procesu wychowania komunistycznego. Oto jak prosto, głęboko i pięknie pisał o tym Stalin w serdecznym liście do

Gorkiego: „Nie możemy się obejść bez samokrytyki. W żaden sposób nie możemy Aleksy Maksymowicz. Bez niej nieuniknione są: zastój, gnienie aparatu, wzrost biurokratyzmu, podcinanie twórczej inicjatywy klasy robotniczej”. Stalin systematycznie wykazywał, że krytyka i samokrytyka pomagają w ukształtowaniu u ludzi wysokiej ideowości, nieprzecznej dążności do walki z własnymi błędami, z wszelkim złem, że wyrabia pryncypialność i siłę charakteru. Te wskazania Stalina znalazły swój wyraz w nowym statucie KPZR, który nakłada na komunistów obowiązek organizowania i rozwijania masowej, oddolnej krytyki i samokrytyki.

Niesposób w krótkim artykule omówić choćby najważniejszych wskazań wielkiego Stalina, który czerpiąc swą mądrość z codziennej więzi z masami, z głębokiej znajomości teorii marksizmu, a swą siłę z potęgi partii, stał się dla nas niedoścignionym wzorem i nauczycielem. Kierując się jego naukami, przyswajając je sobie i stosując w życiu — stajemy się współtwórcami i kontynuatorami wielkiego dzieła — budowy socjalizmu, a w przyszłości komunizmu.

Nam dane jest szczęście żyć i działać w czasach kiedy rozwija się i umacnia wielkie dzieło Lenina i Stalina. Rok ostatni, tak jak i wszystkie lata ostatniego półwiecza, był rokiem dalszego wzbogacania tego dzieła, poszerzania go, wzmagania jego gigantycznej potęgi i wielkości. „Pierwsza Brygada szturmowa” świata kierowana przez doświadczenie i mądrość jej Komitetu Centralnego — toruje i wytycza wszystkim ludom świata jedyną drogę, którą ludzkość może pójść — drogę komunizmu.

Nauka partii, nauka Lenina i Stalina żyje i zwycięża w nas, w sercach i umysłach coraz to nowych milionów ludzi, którzy odnajdują w niej najgłębszą, najbardziej rzeczywistą prawdę naszej epoki — tę prawdę, że komunizm jest młodocia, przyszłością świata. Odnajdują w niej to, co jest dla człowieka niewątpliwie najdroższe i najistotniejsze — prawdziwy, głęboki ludzki sens i cel swego życia.

HENRYK KASSYANOWICZ

Z perspektywy tygodnia

Gdy przyjrzeć się bliżej komunikatowi opublikowanemu przez ministrów spraw zagranicznych trzech mocarstw zachodnich w dniu 19 lutego, a więc już nazajutrz po zakończeniu konferencji berlińskiej, to sens tego oświadczenia jest mniej więcej następujący: — Trudno, argumentacja Molotowa była naprawdę nie do obalenia. Przeciwnie się np. jego propozycjom zwolnienia konferencji pięciu z udziałem Chin z uwagi na nastroje we Francji i w Anglii było niepodobnięństwem. Ale za cenę tego ustępstwa — dodając pośpieszenie trzech ministrów zachodnich — udało nam się za to... nie zgodzić na radzieckie propozycje w sprawie Niemiec i Austrii i... „brzy mocarstwa nie mają zamiaru zrezygnować ze swych wysiłków, zmierzających do rozwinięcia systemu obrony, od którego zależy ich życie”.

Pozostawmy na uboczu ten wyświechtany już argument o zagrożeniu jako-by życia. Natomiast jeśli pod słowem „system obrony” podstawimy oświadczenie „Europejskiej Wspólnoty Obrony”, to sens komunikatu jest aż nadto jasny. Dowodząc, że swa porażkę w sprawach Dalekiego Wschodu ministrowie mocarstw zachodnich usiłują zdyskontować dla jak najszybszego preferowania wojennych układów z Bonn i Paryża. Innymi słowami, rzecz można, jeżeli nielotarni muskiełowiec imperializmu amerykańskiego zlamawszy w Berlinie swe szpady, usiłują na odmiennie przedziwne się w. Machiavellich.

Z tych do właśnie względów francuski minister spraw zagranicznych Bidault, który w Berlinie musiał aż prosić Adenauera o natężenie tłumika na zbyt głośne hymny pochwalne piane na jego cześć przez reakcyjną prasę niemiecką, obecnie po powrocie do Paryża usiłuje odgrywać niemal... głównego zwycięzcę. Tylko dzięki jego stanowisku udało się doprowadzić do kompromisu, tylko on swą postawą wywrócił na Dulle sie zrodziła na konferencji pięciu. Macielko, a dowiemy się, że to np. nie Molotow a Bidault wystąpił z tą propozycją, że to więc w ogóle nie ministrowi Molotowowi lecz panu Georges Bidault należy się wdzięczność i uznanie.

Niewątpliwie jakaś cząsteczka prawdy w tym jest. Ministrowi Bidaultu bardzo bowiem zależało, aby w zamian za swe usługi oddane Dulleśowi w torpedowaniu propozycji radzieckich w sprawie niemieckiej zastąpił się przynajmniej jakimś wynikiem dającym nadzieję na zakończenie brudnej wojny w Indochinach. Niewątpliwie jest też, że w codziennych zakulisowych przetargach między trzema ministrami zachodnimi, Bidault, poślakowany przez Adena, usiłował wytłumaczyć Dulleśowi, iż bez zgody na konferencję pięciu nie ma po co wracać do Paryża. Ale cena?

Otóż ceną, którą naród francuski zapłacił ma za tę nadzieję położę-

nia kresu wojnie w Wietnamie jest... ratyfikacja układów z Bonn i Paryża. Do 26 kwietnia brakuje wszak jeszcze pełnych dwóch miesięcy. Jak tam będzie na konferencji, to się jeszcze zobaczy, ale my tymczasem, zanim do niej dojdzie, przeforsujemy układy i... kłamka zapadła. Dlatego właśnie, ledwie trzej ministrowie zdążyli wrócić z Berlina do swych stolic, wokół EVG (Europejska Wspólnota Obronna) zapanował ruch.

Tak więc w Londynie rzecznik Foreign Office oświadczył, że Wielka Brytania wprawdzie armii swej nadal nie zamierza podporządkować EVG, ale gotowa jest wspólnymi siłami zgodzić się na udział we władzach Wspólnoty. Ze swej strony minister Bidault w Paryżu usiłuje za wszelką cenę zmontować większość niezbędną dla preferowania ratyfikacji układów we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, a Waszyngton? Waszyngton obiecuje na prawo i lewo. A więc i pozyskane 100 milionów dolarów dla bankrutującej Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, i pozostawienie wojsk amerykańskich na kontynencie europejskim choćby przez sto lat, i przedłużenie paktu atlantyckiego z 20 na 50 lat. Słowem wszystko, czego ten kochany, posłuszny Bidault będzie sobie życzył. Należy mu się przecież nagroda za Berlin.

Zresztą w grę wchodzi również skóra samego pana Dulleśa. Jeśli bowiem we Francji w wypadku odrzucenia układów z Bonn i Paryża przez Zgromadzenie Narodowe, zagrożona byłaby co najwyżej kariera pana Bidault i kilkunastu najbardziej zapalnych i wilkoniastych „armii europejskiej” (zostali twierdzą, że minister Bidault może ich z łuszcą policyjną przy pomocy dwustu pałeczek swych rąk i nóg), to dla Dulleśa i rzędu Eisenhowera byłaby to klęska na całej linii. W tych warunkach zrozumiałe jest, że Dulleś zdecydował się na miarę na stawienie czoła (ostatecznie, czy to lobby? w Kongresie USA, było tylko uratować szanse ratyfikacji EVG. Taki to planik godny autora „Il Principe”... uplanowali sobie trzej ministrowie zachodni, zamierzając swą zrodę na konferencji pałeczek zdyskontować w postaci ratyfikacji EVG.

Ale, i na tym polega błąd w ich kalkulacji, możliwość pokoju w Indochinach została we Francji potraktowana inaczej, niżby sobie tego życzyli trzej ministrowie. Nie zwiększyła lecz na odwrót — zmniejszyła szanse ratyfikacji EVG.

Jak to? — pytają bowiem Francuzi. — Przecież jeśli istnieją szanse porozumienia w sprawie Indochin i Korei, to tym bardziej należy wstrzymać się z ratyfikacją układów bońsko — paryskich. Porozumienie takie oznaczałoby bowiem dalsze odprężenie w sytuacji międzynarodowej, natomiast ratyfikacja układów to droga kontynuowania „zimnej wojny”. Gdzie więc logika?

Zrozumiałe jest więc, że ani ruz nie można porównać działań europejskiej i amerykańskiej dyplomacji, ocenie wyników konferencji. Bo jeśli np. według amerykańskiego reakcyjnego piśma „Christian Science Monitor” fakt iż trzej ministrowie zdolali storpedować radzieckie propozycje w sprawie Niemiec należy uważać za „pozytywne osiągnięcie” dla którego warto było nawet zgodzić się na konferencję pięciu, to dziennik „New York Herald Tribune” nie jest bynajmniej tak optymistycznie nastrojeny. Wedle opinii tego dziennika „Bidault będzie miał duże trudności, gdy stanie przed parlamentem, toteż należy mu w jakiś sposób pomóc”. Pośrodku, jeśli idzie o ocenę wyników konferencji i szanse ratyfikacji EVG, uplasowała się prasa brytyjska. Władom, chciałaby przecież doprowadzić Amerykanom i zachęcić parlament francuski do ratyfikacji układów. Jednak — podobnie jak prasa francuska — zdaje sobie sprawę, że ratyfikacja układów z Bonn i Paryża znacząco utrudniłaby porozumienie na Dalekim Wschodzie.

Natomiast wczec minorowe, jeśli idzie o szanse ratyfikacji układów, są komentarze prasy francuskiej odzwierciedlające chaos, jaki w tej sprawie nanuje w rządzie francuskim, w Zgromadzeniu Narodowym, w partiach koalicyjnych rządowej. Tak więc np. dziennik „Combat” stwierdza, że „dopiero teraz powstała sytuacja bez wyjścia. Armii europejskiej nie chce nikt, pokoju w Indochinach pragną wszyscy. Trudno będzie Bidaultowi przekonać Zgromadzenie, aby wybrało to, czego nie chce, kosztem tego czego pragnie”. Inny dziennik francuski „France Threux” dodaje, że „szanse ratyfikacji układów nawet po udzieleniu jakichś dodatkowych zapewnień amerykańskich są nadal minimalne. Natomiast kryzys rządowy, gdy tylko Laniel sprawę tę postawi w parlamencie, jest prawie pewny”.

Oczywiście rozdziela szaty z powodu zapowiedzi konferencji pięciu prasa Czang Kai-szeka, Li Symana i Bao-Dai. Ci dwaj ostatni mają przynajmniej tę pociechę, że mogą się ewentualnie... obrazić i nie przyjąć zaproszenia do Genewy (Czang Kai-szek nawet tej przyjemności został pozbawiony).

Ale właśnie ten beznisny gniew marionetek amerykańskich na Dalekim Wschodzie, wściekłość „china lobby” w Kongresie amerykańskim, zamieszanie i chaos wśród zwolenników „armii europejskiej” w Europie — wszystko to potwierdza niewątpliwie sukces konferencji. Chociaż bowiem na skutek sprzeciwów przedstawicieli mocarstw zachodnich nie została uregulowana ani sprawa Niemiec, ani sprawa Austrii, konferencja potwierdziła słuszność nadziei, które pokojowa opinia w świecie wiązała ze spotkaniem berlińskim.

Czy się to bowiem zwolennikom kontynuowania polityki „zimnej wojny” podoba czy nie, konferencja berlińska przyniosła faktyczne odprężenie w sytuacji międzynarodowej. A to jest dużo. Tego bowiem domagała się pokojowa opinia w świecie. A to jest dużo, bo o to walczyli konsekwentnie Związek Radziecki wskazując, że nie ma takiej sprawy, której nie można by rozwiązać drogą rokowań.

Z życia studentów za granicą

PARA PARZY

„Reportaż ten, który nie jest pozbawiony pewnej naiwności, nadającej mu zresztą piętno autentyzmu, napisał pewien młody Francuz, studiujący obecnie w Madrycie. Ze zrozumiałych dla naszych czytelników przyczyn zatailiśmy jego nazwisko.” Takim wstępem poprzedził reakcyjny tygodnik francuski „Carrefour” swój własny reportaż zatytułowany „Bunt madryckich studentów”.

Z dokumentem tym chcemy zapoznać obecnie czytelników POPROSTU, gdyż jest on niewątpliwym świadectwem zająć wśród madryckiej młodzieży akademickiej; chcemy jednak zwrócić uwagę naszych czytelników, że zarówno kierunek polityczny „Carrefour” jak i osoba madryckiego korespondenta wymagają odpowiedniej oceny i wysnuć własnych wniosków na kanwie opowiadanych faktów.

PRZECIW WIZYCIE KRÓLOWEJ

„Okolo godziny 11 na wydziale prawa — pisze Francuz — jeden ze studentów podszedł do profesora, który skończył wykład i zapytał go, czy może powiedzieć kilka słów do swych kolegów. Następnie zwrócił się do audytorium prosząc o ciszę; oświadczył, że studenci różnych wydziałów organizują manifestację przeciw zapowiedzianej wizycie królowej Elżbiety w Gibraltarze. (Identyczne demonstracje odbyły się już uprzednio w miastach prowincjonalnych, a w szczególności w Grenadzie). Student ów wezwał kolegów, by przyłączyli się do innych wydziałów organizujących protestacyjny pochód”.

Francuz wyraża przekonanie, że inicjatywa urządzenia manifestacji wyszła od frankistowskiej organizacji S. E. U. Ale powoł demonstracja przybiera inny obrót, niż chcieli organizatorzy. Pochód maszeruje już ulicami Madrytu. „Gdy mijaliśmy gmach wydziału filozofii i literatury, Rektor, falangista, Entralgo wyszedł przed budynek i powiedział: „Oby ta manifestacja organizowana przez S. E. U. minęła w spokoju”. Wtedy dwaj ludzie używając niewybrednych słów odkrzyknęli mu przy oklaskach tłumów, że mają w nosie S. E. U.”.

KAMIEŃ NA BANK

„Po przemaszerowaniu przed wydziałem filologicznym, nasze szeregi powiększyły się o kilku studentów i kilka zakonnic. Te ostatnie zresztą szybko nas opuściły przerażone wulgarnymi piosenkami, które śpiewaliśmy. Kiedy wychodziliśmy z Man-cloa i udajemy się w kierunku miasta, jest już nas około 8 tysięcy. Po

przyłączeniu się do nas studentów wydziału prawa, tworzymy imponującą grupę, wypełniającą 400-metrowy odcinek „Gran Via” — głównej arterii Madrytu. Jak dotąd, nie napotykałyśmy ani jednego agenta policji prócz służby ruchu kołowego...”

Maszerujemy w kierunku ambasady brytyjskiej. Przechodnie patrzą na nas z sympatią. Czoło pochodu przybliża się już do „Castellana”. Zaczynamy obrzucać kamieniami gmach banku „Londyn — Ame-

ryka Południowa”. Najpierw weszła tam delegacja, która zażądała wciągnięcia na ten „bastion imperializmu brytyjskiego” flagi hiszpańskiej na co przerażona dyrekcja przystała bezwolnie. Ponieważ jednak szlandar hiszpańskiego nie wyniesiono dość szybko, posypał się deszcz kamieni. Przed bankiem nie ma więcej kamieni niż na placu Zgody w Paryżu. Amunicyja została więc z góry przygotowana. Jeden z mych sąsiadów demonstruje mi pochodzenie pocisków, wyciągając ze swej kieszeni kamień wielkości pięści. Rzucił z całej siły i pierwsza szymba rozlatuje się hukiem. Tłum szaleje z radości. Za wszelką cenę chcę bronić się przed tym zbiorowym podnieceniem i występuję z pochodu.

Po godzinie odnajduję pochód w okolicy ambasady brytyjskiej. Przybywam akurat w chwili, gdy trafiony kamieniem w samo czoło. spada z konia pierwszy policjant.

Sprawy wikłają się, niesposób przejść Ulice wiodące do ambasady strzeżone są przez oddziały policji pieszej i konnej tzw. „Policia Armada”, które przystępują do szarży na tłum. Pochód cofa się. Obserwuję przy tym piękny przykład hiszpańskiej odwagi. Tuż przy mnie student czeka w spokoju na dwóch policjantów, którzy spieszą ku niemu, dopuszcza ich na 5 metrów i rzuci kamieniem. Jeden z policjantów trzymając się za głowę pada jak bezwładna bryła. Teraz atakują studentów posilki kawalerii. Wielkie użalenie czynią kłusujące konie, których jeźdźcy pochyleni na boki, pakując z wolna cofający się tłum. Na bruku zostaje około dwunastu studentów, kilku z nich strasowały konie.

Po paru chwilach znalazłem się wraz z innymi kolegami przed bramą, gdzie odczekała nas guardia piesza. Jeden ze studentów odezwał się wyzywająco: „Nie tkniecie mnie”.

Po krótkiej walce, upadł pobity bestialsko pałkami. Rykło jednak inna grupa studentów przepędziła kamieniami policję i oswobodziła nas”.

Opisując dalszy przebieg manifestacji Francuz stwierdzał, że padły strzały do studentów i że podobno były trzy ofiary śmiertelne tych strzałów.

„Kilku kolegów twierdzi — pisze Francuz — że widzieli jak ambasador brytyjski ukazał się na balkonie ambasady, strzepując lekceważącym gestem popiół z papierosa”.

Le récit exclusif d'un témoin de

CARREFOUR

LA RÉVOLTE DES ÉTUDIANTS MADRILENES

MORDERCY, MORDERCY!

„Nazajutrz, czyli we wtorek, zostaje ogłoszony dwudniowy strajk protestacyjny przeciw brutalności policji. Rankiem, kiedy przechodzę przez Puerta del Sol widzę, jak grupa licząca około 700 studentów manifestuje przed gmachem policji krzycząc: „Mordercy, mordercy!” Francuski student daje dobre rady policji madryckiej:

„Kilka bomb z gazem łzawiącym i kilka hydrantów strażackich przywołaliby szybko do porządku demonstrujących studentów...”

S. E. U. wywnęła się z ręką ta manifestacja, którą ona sama przeciw zorganizowała. Nienawiść do S. E. U. i do Falangi jest powszechna i nikt się z nią nie kryje”.

Również i reakcyjny tygodnik amerykański „Time”, który przeciw absolutnie nie może być posadzony o brak sympatii dla kłosa narodu hiszpańskiego, pisze:

„Stalowa ręka Franco drżała przez chwilę w ubiegłym tygodniu. Tłumy cywilów w Madrycie starty się z policją, przeciwstawili się Falandzie i spalili na ulicach egzemplarze „Arriba” (organ Falangi — przyp. red.). Było to największe od 15 lat istnienia reżimu masowe wystąpienie przeciwko policji Franco”.

Tygodnik cytując wypowiedź jednego z faszystowskich profesorów uniwersytetu w Madrycie, który oświadczył: „Niebezpiecznie jest pozwalać im (tj. studentom — przyp. red.) na puszczenie pary, ponieważ nikt nie może przewidzieć, w jakim kierunku ta para pójdzie”.

Istotnie w Madrycie para wypuszczona na Angi — poparzyła przy okazji i frankistowskich siepaczy.

(D. G.)

o moralności na codzień - porozmawiajmy

Żyjemy w dziesiątym roku Władzy Ludowej. Dążymy do socjalizmu, marzymy o komunizmie.

Obrażamy się często, gdy ktoś zarzuca nam przejawiające się w naszej postawie mieszczańskie, burżuazyjne naleciałości.

Oburzenie to jest jeszcze większe, jeśli w swojej ankiecie personalnej mamy w rubryce — pochodzenie — słowo: robotnicze, lub chłopskie.

A przecież zaledwie kilka tygodni temu ukazał się we wrocławskiej „Gazecie Robotniczej” list czytelnika opowiadający o pewnym aktywiście, studencie Uniwersytetu, który porzucił swą żonę, robotnicę utrzymującą go podczas studiów...

W dyskusji, którą rozpoczynamy, nie chodzi nam jednak o fakty tak jaskrawe i oczywiste, jak choćby ten z fałszowaniem podpisów profesora przez słuchaczy wydziału dziennikarskiego UW. W takich wypadkach nie wahamy się jak postąpić.

Chcemy, abyście w naszej dyskusji pisali o faktach pozornie drobnych, z którymi wciąż stykamy się w życiu codziennym, obok których przechodzimy często kwitując sprawę w najlepszym wypadku machnięciem ręki.

Chcemy, by w wyroku dyskusji studenci zdawali sobie sprawę z tego, że moralność socjalistyczna to sprawa nie tylko wypowiedziana się za tym co politycznie słuszne, ale to sprawa naszej postawy na każdym kroku i w każdej sytuacji.

Razem z wielkimi budowlami sześciolatki, z tysiącami nowych spółdzielni produkcyjnych na wsi, musi powstawać nowy człowiek. Dopiero wtedy można będzie mówić o socjalizmie i marzyć o komunistycznej przyszłości.

Drukujemy dziś pierwsze wypowiedzi w naszej dyskusji. Zastanówcie się nad nimi, napiszcie co o tym sądzicie. Przytaczajcie inne, zane Wam fakty i ustosunkujcie się do nich.

Warto się nad tym zastanowić...

Po przeczytaniu kilkudziesięciu stron „Studentów” odłożyłem książkę. Chciałem przemysleć sprawę Sergiusza Paławina i nie tylko Sergiusza. Bohater Trifonowa — człowiek niezwykle zdolny — chce żyć tylko dla siebie, dla zaspokojenia własnych ambicji, tak jak jest mu najwygodniej.

Pomyślałem — a jakie są normy naszego codziennego postępowania? Przecież nikt z nas nie zastanawia się ciągle nad tym co „moralne”, a co „niemoralne”. Dawno przestałmy zwracać problem moralności do spraw dwojga ludzi. „Sprawa jest poważniejsza — chodzi o stosunek do życia...”, „żyć lekko, wygodnie, przyjemnie, zadowalać się we wszystkim namiastkami, bo z nimi mniej kłopotów — połowicznymi uczuciami, wygodną miłością i małą przyjaźnią” (Trifonow) — tak jest latwiej.

Często jeszcze chcemy zachować „taki” prywatny, osobisty kącik, boimy się, żeby ktoś nas tam nie spostrzegł — zostając sami stajemy się przeważnie inni — widzimy tylko swoje własne zmartwienia.

Nawet drobne szczegóły naszego codziennego życia charakteryzują postawę moralną. Oto kilka przykładów:

Andrzeja poznałem jeszcze w ubiegłym roku akademickim. Ogólnie poważny, ceniony przez wszystkich aktywista zetemowski. Należał wtedy do Uczelnianej Komisji Zapomogowej. Byłem raz świadkiem niezbyt przyjemnego zajścia: Do pokoju „Warunków Socjalnych” KU weszła szczupła blondynka.

— Kolego! Czy mogę otrzymać kwestionariusz zapomogowy, bo... — Pozwólcie legitymację zetemowską — przerwał Andrzej. — Macie nie opłacone składki za ostatnie trzy miesiące.

— Ależ kolego, ja właśnie nie mam teraz pieniędzy — próbowała tłumaczyć się blondynka.

— Ja wam przecież nie pożyczę — zachnął się Andrzej i schował kwestionariusz do szuflady.

Sledząc uważnie listę przyznanych zapomóg losowych, można było zawsze znaleźć na końcu pomiedzy ostatnimi nazwiskami również nazwisko Andrzeja. Andrzej W. z. 150.

Krysia przodowała w grupie — w czasie seminariów, a już najbardziej w sesji egzaminacyjnej, odbiegając swoimi wnioskami daleko od pozostałych członków grupy. Pracowała bardzo dużo w Wydz. Organizacyjnym Komit. Uczeln. ZSP.

„Ze też ta dziewczyna znajduje na wszystko czas?” — głowili się koledzy.

Sprawa nie tylko Totonia

Inż. Marian Totoń jest studentem II roku magisterskiego wydziału chemicznego. Pozornie nie różni się od innych słuchaczy — jest pilny, zdolny, przygotowuje się wspólnie z kolegami do magisterium. Marian mieszka w DS przy ul. Łużyckiej. Nie byłoby w tym również nic dziwnego gdyby nie fakt, że w wykazie mieszkanców figuruje on w pokoju nr 323 — a mieszka w 330... Czy to przypadkowa omyłka? Nie — to zwykła samowola inż. Totonia.

Inż. Totoń zalegał z czynszem, po prostu nie płacił za mieszkanie. Nic więc dziwnego, że gdy sprzątaczką, ob. Anna Osłowska, upominała się u niego o czynsz, inż. Totoń zdernewował się... Jak taka zwykła sobie sprzątaczką może jemu — inżynierowi, przyszłemu magistrusowi chemii przypominać o tak blagiej sprawie jak zapłacenie czynszu? Skandal! Pod adresem ob. Osłowskiej padły słowa: „Ty szmato!” i inne niecenzuralne epitety. Czynszu inż. Totoń nie zapłacił — i sprawa dla niego skończyła się.

Kol. Totoń niedługo stanie do pracy w przemyśle, by kierować du-

Krystyna pewnego dnia nie przysłała na wykłady — nie było jej trzy tygodnie. A potem zjawiała się znowu, trochę pobladła, z podkrążonymi oczami, ale jakoś nikt nie zwrócił na to uwagi. Chorowała — to jedno słowo wystarczało. Krystyna czuła się coraz gorzej — nie mogła już regularnie uczęszczać na zajęcia. Po kilku miesiącach okazało się, że Krystyna za otrzymane stypendia kupowała książki — zamiast obiadów. A nie mając czasu w dzień, przesiadywała całymi nocami w pokoju do nauki.

Krystyna żyła w grupie, mieszkając wspólnie z dwiema koleżankami — ale jakoś wszyscy zajęci sobą nie mieli czasu się nią zainteresować.

Budny, zaśmiecony papierami i niedopałkami pokój. Pod piecem leży ładny (niegdys) drzeworyt, nad którym z pewnością niejedną noc pizesiedział student Wydz. Sztuk Pięknych. Niezasilane łóżka bieleją zabrudzona pościelą — na etażerkach, stole i krzesłach niedbale porozrzucone książki i zeszyty.



Na szafie, obok dwóch butelek po piwie, leży w całej swojej okazałości stary, zniszczony narciarski but — tak wygląda jeden z pokoiów aktywistów w Domu Studentkim.

„Nie mamy czasu na sprzątanie, taki nawał roboty!” — tłumaczy się.

Wiele jest drobnych spraw, których nie dostrzegamy, pochłonięci własnymi (o wiele ważniejszymi!!!) problemami.

Układamy sobie życie tak, żeby było wygodniej.

Nie obchodziło grupę jak żyje Krysia. Nie obchodziła Andrzeja „szczupła blondynka”, której konieczne potrzebna była zapomoga — te wszystkie drobne sprawy mówią o naszym stosunku do rzeczywistości. O tym za jaką moralnością się opowiadamy — to sprawa naszego światopoglądu. Moralność wybiega zatem o wiele dalej od „spraw dwojga” i sięga do naszego codziennego życia.

Co o tym sądzicie?

ROMAN SAMSEL
UMK — Toruń

zą grupą ludzi. Praca ta nie jest łatwa — szczególnie dla młodego specjalisty. Zdarzają się niepowodzenia, na każdym kierowniku ciąży duża odpowiedzialność.

Zastanówmy się, czy kol. Totoń będzie mógł sprostać zadaniom czekającym na niego, o ile nie zrozumie błędów w swym postępowaniu i nie zmieni go radykalnie? Chyba nie...

Jesteśmy pewni, że Uczelniana Komisja Dyscyplinarna wyciągnie

O ludzki stosunek do pacjenta

Minister Sztachelski w swoim referacie pt. „Zadania Służby Zdrowia w świetle IX Plenum” powiedział m. in.: „W walce o właściwy stosunek do człowieka poważne zadanie przypada Akademii Medycznej — mają one obowiązek zapewnić właściwe wychowanie studenta”.

A towarzyszący Bierut na IX Plenum mówił:

„...troska o człowieka wysuwa się na czoło wszystkich problemów i zadań społecznych”.

Popatrzmy jak na naszej Akademii wygląda wychowanie ludzi, którzy już za półtora roku zaczną pracować w zawodzie lekarskim.

Przykład pierwszy: Audytatorium pełne, odbywa się wykład z chirurgii, prowadzony przez prof. dr Bogusza.

Do zbadania pacjenta wezwani są dwaj studenci. Pacjent jest zupełnie rozebrany. Widać, że krepuje go obecność tak wielu osób.

W pewnym momencie jeden z wezwanych na środek sali studentów niezgrabnie się wyraża, wykonując przy tym niewłaściwy ruch ręką, i wtedy... sala zaczyna ryczeć, zanosząc się od śmiechu.

Chory człowiek nie rozumie o co chodzi, jest wyraźnie speszony, myśli, że śmieją się z niego.

Zastanówmy się, co może sobie pomyśleć pacjent, który przecież dobrowolnie zgodził się na zadenostrowanie swego przypadku choroby, by studenci łatwiej mogli nauczyć się zawodu. — Pozostaje głęboki uraz psychiczny, czasem na całe życie.

Mimo że profesor przed każdą demonstracją prosił studentów o zachowanie powagi, podobne wypadki zdarzyły się jeszcze trzy razy.

Jest to głęboko niepokojące, ponieważ fakty te mają miejsce na IV roku studiów. Ci młodzi, przyszli lekarze zachowują się bezgłose, wprost cynicznie wobec ludzkiego cierpienia, wobec człowieka.

Niedawno podczas ćwiczeń z chorym jeden ze studentów cmokał z podziwu — „Patrzcie tylko, jaki cudny przypadek!”

— Pacjent rozplakał się.

Nic dziwnego, że po takich „przyjęciach” w żaden sposób nie można namówić chorych do wzięcia udziału w demonstracji.

wobec Totonia jak najsurowsze konsekwencje. Tego samego oczekujemy od Zarządu Dzielnicowego ZMP Politechniki Śląskiej.

Od ZD ZMP Politechniki oczekujemy jeszcze jednego — zapoznania szerokiego rzesz studentów ze sprawą Totonia i wyciągnięcia wniosków, które zapobiegną na przyszłość podobnym wypadkom.

ZBIGNIEW SWOBODA
Politechnika Śląska



Na ścianach klinik wiszą napisy: „Przestrzegajmy zasad Pawłowizmu — rozmawiajmy szeptem”.

Tymczasem nasze wizyty w klinice przypominają rozkrzyczane przerwy w szkołach podstawowych, np. grupa XII kilkakrotnie urządziła sobie na korytarzach klinik chóralne próby śpiewu. Śmiechy, nawoływania, okrzyki — podczas naszych zajęć w klinikach — należą jeszcze niestety do porządku dziennego.

Każde takie zajęcia chorzy traktują jako dopust boży, a po naszym odejściu oddychają z ulgą.

Co gorsze — spora liczba profesorów i lekarzy nie daje studentom pod tym względem dobrego przykładu.

O tych sprawach niestety nie mówi się na zebraniach produkcyjnych, czy zetemowskich.

W ramach szkolenia zetemowskiego odbywają się u nas (czyli na temat moralności socjalistycznej w ogóle.

Nikt się nie zastanawia nad tym, że organizacja ZMP na Akademii Medycznej winna mówić przede wszystkim o moralności socjalistycznej lekarza. Za mało wiemy np. o postawie lekarza w Związku Radzieckim.

Nie ma u nas dyskusji na temat stosunku lekarza do pacjenta, do człowieka.

A przecież to problem niezmierznie istotny, o którym powinno się mówić na latach, na grupach i w gazetkach ściennych.

Problemy wychowania lekarza porusza obszernie czasopismo „Służba Zdrowia”. Cóż jednak z tego, skoro nasi przyszli lekarze piśmem tym interesują się mniej jeszcze niż swoim studenckim tygodnikiem

POPROSTU...

Uważam, że zagadnienie moralności lekarza jest kwestią niezmierznie palącą i winny się nią zająć przede wszystkim organizacje ze-

tempowskie na naszych Akademiiach Medycznych.

ANDRZEJ MAZUREK
AM — Kraków

Figiel!

Ot, taka sobie niby mało znacząca sprawa. Rzecz miała miejsce w Toruniu. Wiesiek Skubala, student chemii UMK, postanowił po prostu zaprosić do swego pokoju w Domu Studentkim przy ul. Piastowskiej koleżankę, albo, jak niektórzy mówią, „sympatię”.

Wiesiek jest aktywistą, a jak wiadomo, aktywista wciąż bywa „zalanany”. No więc poprosił kolegów, aby przyjeździł koleżanki uporządkowali trochę pokój pozostający w tzw. „studenckim nieładzie”.

Koledzy, trzeba im to przyznać, przejęli się mocno prośbą Wiesia i zabrali się do sprzątania.

Wyciągnęli skądś zdjęcie w/w koleżanki i ustawiono na stole. Potem Boguś Dymel doszedł do wniosku, że należy przybrać pokój odpowiednimi hasłami i transparentami.

Napracował się solidnie, bo przecież nie uczył się liternictwa, ale transparentki wykonał starannie, kolorowymi kredkami i sapiąc z zadowolenia zawiesił uroczyste trzy napisy nad łóżkiem Wiesia Skubala.



— Jaki wspaniały kolega — powiecie. Nie wiem tylko, czy zachwycilibyście się treści owych napisów, na razie przecież wiecie tylko o formie.

A treść nie była budująca — po prostu Dymel przepisał zasłyszane gdzieś w lumpowskim środowisku ordynarne, pornograficzne dwuwiersze.

„Oryginalny” i „świeży” pomysł — prawda? A jaki „dowcipny”...

Wspaniała „koleżeńska przysługą”...

T. J.

Rosną szeregi ZMP

W okresie po IX Plenum KC PZPR nastąpiła poważna aktywizacja pracy organizacji zetemowskiej na wyższych uczelniach. Uwaga aktywistów i całej organizacji zwrócona jest na zadania najważniejsze — na pomoc władzom uczelni w lepszym, pełniejszym i bardziej wszechstronnym wychowaniu studentów. Podjęto szereg cennych zobowiązań i w większości są one realizowane — jak np. apel wrocławskiej WSR czy też praca na wsi studentów innych uczelni. To wszystko doprowadziło do poważnego wzrostu autorytetu ZMP, wyrażającego się w pierwszym rzędzie liczebnym wzrostem organizacji.

W czasie od 1 listopada ub. r. do chwili rozpoczęcia sesji zimowej na terenie wyższych uczelni w Polsce przyjęto do ZMP ponad 1300 osób (liczba ta nie obejmuje studentów, których wnioski o przyjęcie do organizacji nie zostały jeszcze zatwierdzone przez Zarządy Dzielnicowe lub Miejskie). Jeżeli wziąć pod uwagę, że ilość studentów zorganizowanych w ZMP na wielu uczelniach przekracza 70 proc. i dochodzi nawet do 90 proc. ogólnej liczby studiujących, oraz fakt, że w ubiegłym roku akademickim przyjęto do organizacji tylko około 300 osób — jest to osiągnięcie niezmierznie poważne.

Jednocześnie po IX Plenum organizacja ZMP na wyższych u-

czelniach przekazała ponad czterystu aktywistów w szeregi PZPR.

Wzrost szeregów organizacji, przybywanie do niej najlepszych studentów — przodowników nauki — jest odbiciem pracy organizacji ZMP-owskiej. Tam, gdzie młodzież widzi przodującą rolę organizacji, odczuwa jej troskę o naukę, o wychowanie, o życie kulturalne i potrzeby bytowe — tam organizacja wzrasta szybko i prawidłowo. Do takich uczelni, gdzie szczególnie w ostatnim okresie nastąpiła poprawa pracy ZMP zaliczyć można Akademię Medyczną w Poznaniu. Na uczelni tej wstąpiło do ZMP stu nowych członków.

Nie można natomiast mówić o polepszeniu pracy na Akademii Medycznej w Rokitnicy, gdzie do 1 stycznia br. nie wydano ani jednej nowej legitymacji ZMP-owskiej. Niepokojącym objawem jest również niezmierznie mały wzrost ZMP na uczelniach artystycznych. W Warszawskiej ASP i w stalinogrodzkiej RWSM nie przyjęto nikogo do organizacji, w poznańskiej PWSM — jedną osobę, a w łódzkiej PWSSP — dwie.

Natomiast znacznie lepiej przedstawia się sytuacja w szkołach wychowania fizycznego, gdzie poprowadzono prace „kulala”, a wzrost organizacji wyrażał się znikomymi cyframi. Obecnie na AWF-ie w Warszawie wstąpiło do organizacji 44 osoby, podobnie jak na WSWF w Krakowie.

Nasi kandydaci

Jerzy Zasada



ko student pierwszego roku zwrócił na siebie uwagę wszystkich, z którymi się spotykał, a obecnie, jako student II roku wydziału filozoficznego, jest znany na całej uczelni.

Na Uniwersytecie przybył z ziemi kieleckiej. Tam w 1932 r. urodził się jako syn wyrobnicy rolnej. Lata dziecięce wypełniała mu nędza i praca — ciężka praca, której ślady zostały Jurkowi na całe życie: Drzewo, które co dzień nosił do domu z odległego lasu pochyliło mu lekko plecy i ramię. Ale to wszystko nie ugasiło w nim pragnienia szczęścia, nie pozbawiło marzeń o lepszym życiu.

Jako 15-letni chłopiec wstąpił do ZWM. Od 1947 r. wprowadza w życie ideę PPR i ZWM na terenie szkoły. W 1949 r. zostaje przyjęty w szeregi Partii.

Na pierwszy rok Jurek przyszedł z dużym doświadczeniem praktycznym i dość rozległą w porównaniu do innych wiedzą teoretyczną. Swoim przyjacielskim, bezpośrednim i życzliwym stosunkiem do ludzi zyskał sobie głębokie zaufanie kolegów.

Jurek od roku z górą jest II Sekretarzem Komitetu Uczelnianego Partii na Uniwersytecie Warszawskim. W pracę swą wkłada wiele serca i wysiłku. Wyniki w nauce stawiają go w rzędzie jej przodowników. Obecnie został wybrany do najwyższej władzy partyjnej, jaką jest Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — Partii, która jest „rozumem, sumieniem i honorem narodu”.

Na konferencjach miejskich i wojewódzkich wybiera się obecnie w całym kraju delegatów na II Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na liście wybranych, wśród zasłużonych działaczy partyjnych i państwowych, przodowników pracy, widnieją również nazwiska wybitnych przedstawicieli nauki, kultury i sztuki polskiej. Zaszczycu uczestnictwa w Zjeździe dostąpili także najlepsi studenci.

Teodor Marchlewski



W swej długoletniej pracy naukowej prof. Marchlewski potrafił zawsze powiązać ściśle zagadnienia teoretyczne z praktyką codziennego życia.

O istocie tej nieodzownej więzi nauki z praktyką tak mówił rektor Marchlewski do tych, którzy jesienią 1952 roku wybierali go kandydatem na posła do Sejmu PRL:

— Tu nie chodzi o pomoc inteligentnej nauki dla produkcji, chodzi o naukę typu marksistowskiego, która jest również produkcją. Dlatego my, którzy będziemy mieć jutro nowe kadry naukowców — chłopów i robotników, mówimy o jedności nauki i produkcji, nauki i życia.

Pochłonięty działalnością naukową prof. Marchlewski znajduje czas na aktywną i rozległą działalność społeczną. Wystarczy tylko powiedzieć, że jest członkiem KW PZPR w Krakowie oraz członkiem Komitetu Oorwów Pokoju.

Z sylwetki prof. Marchlewskiego, z jego codziennej postawy życiowej biją wyraźnie cechy właściwe dla pracownika nauki nowego typu — dla naukowca — komunisty.

Zastugi, jakie rektor Marchlewski położył w swej działalności naukowej i społecznej, przyniosły mu zaszczytny tytuł posła na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zastugi te dały mu prawo reprezentowania nauki polskiej na II Zjeździe Partii.

Wśród delegatów z województwa krakowskiego na II Zjazd PZPR znajduje się m. in. rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, poseł na Sejm PRL, członek Prezydium Polskiej Akademii Nauk, prof. Teodor Marchlewski.

Za swe wybitne zasługi położone dla nauki polskiej został on odznaczony orderem „Sztandar Pracy” I Klasy, oraz Krzyżem Komandorskim „Polonia Restituta”.

Badania z zakresu dziedziczności i selekcji hodowlanej — oto zagadnienia, którym prof. T. Marchlewski poświęcił wiele lat żmudnej pracy naukowej. W ostatnim czasie ześrodkował on swą działalność naukową na zastosowaniu osiągnięć miczyniowskiej biologii w zootechnice.

Na krążowniku „MOŁOTOW”

Stalin, zgodnie ze swoimi zwyczajami, postanowił nie odpoczywać podczas krótkiego pobytu na krążowniku. Rozmawiał stale z ludźmi, zadawał pytania dotyczące rozmaitych dziedzin życia i służby w marynarce, spraw bytowych, szkolenia wojskowego i politycznego i domagał się odpowiedzi konkretnych i ścisłych. O ile odpowiedź go nie zadowalała, powracał uparcie do zagadnienia. Żądał pełnej jasności, zwracając jak zwykle uwagę na najważniejsze...

Tym najważniejszym byli, według Stalina, ludzie. Na okręcie, jak i w każdym innym miejscu, o wynikach decydowali ludzie. Dlatego Stalin poprosił towarzyszy, którzy go oprowadzali, by zaznajomili się bliżej z warunkami życia marynarzy, zwracał im uwagę na to, że marynarze są walcami tego, by się o nich troszczono.

Towarzysze spełnili prośbę Stalina. Zapoznali się z warunkami mieszkaniowymi na okręcie, wniknęli w takie, zdawałoby się, drobiazgi, jak funkcjonowanie wentylatorów, napełnianie cystern słodką wodą, zaopatrywanie okrętu w żywność i przechowywanie jej. Próbowali jedzenia, zwiędzali szpital okrętowy, ambulatorium, aptekę...

Zapoznali się też z warunkami pracy pod pokładem, w maszynowni, kotłowni, z warunkami dopływu powietrza w czasie normalnym i podczas bitwy, badali stosunek marynarzy do zasadniczej służby i bosmanów do ponadterminowej. Nie była to formalna inspekcja, lecz troskliwy wgląd we wszystko, co miało związek z człowiekiem, z jego służbą i jego potrzebami.

Stalin przyjmował meldunki w swojej kajucie. Chwilami zapisywał coś w swoim notesie, który leżał przed nim na wąziutkim biurku.

Znamy wentylatory, odświeżając nagrzone przez maszyny powietrze kajuty. Od potężnych turbin drgały przepierzenia i pokład. Czasem odczuwało się lekkie przechylenie boczne; wtedy przymocowane do podłogi krzesła również przechylało się. I Stalin mimo woli musiał szukać wygodniejszej pozycji, żeby utrzymać równowagę.

Wówczas mrużył oczy, i nie odrywając się od papierów, z ciekawością obserwował zachowanie się przedmiotów, które znajdowały się na stole.

— Morze — powiedział — to coś chwającego się... Poruszył dłoń — za to flota powinna być niewzruszona. Morskie granice są najłatwiejsze do zaatakowania, a my mamy ich bardzo dużo. Tylko potężna, nowoczesna flota, wyposażona we wzorową, nowoczesną technikę, a nie najważniejszą — posiadającą silnych, wytrwałych ludzi — potrafi nie dopuścić wroga do morskich granic!

Stalin wstał i wolnym krokiem przechadzał się po kajucie lekko pochyliwszy głowę z siwiejącymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Zatrzymał się przy oknie i oddychając głęboko, palcami dotykał piersi, jak gdyby chciał pomóc płucom w za-

czepnięciu jak największej ilości powietrza.

— Tak, ludzie, ludzie są najważniejsi! — powtórzył. — Dla naszych przeciwników politycznych ludzie, masy ludowe — to najgroźniejsze niebezpieczeństwo. A dla nas są one najpewniejszym oparciem, powinniśmy zawsze znajdować się wśród mas i strzec naszych ludzi, jak najcenniejszy kapitał. Troska o człowieka — to nasz święty obowiązek. Mogłby ktoś powiedzieć: po co tracić czas na powtarzanie powszechnie znanych prawd? Ale — powtarzanie jest matką nauki. Niektórzy towarzysze lubią deklarować swoją troskę o człowieka. Ale często tacy kierownicy poprzestają na deklaracji... Mówicie, że mechanicy chcą zaoszczędzić kopiejkę, i dlatego ograniczają dopływ powietrza do maszynowni? Ale jeśli taka oszczędność odbija się na zdrowiu ludzi, to wątpliwy z niej pożytek...

Kajuta dowódcy krążownika, gdzie przebywał Stalin, stała się teraz ośrodkiem troski o całą flotę, o jej potrzeby w chwili obecnej i w przyszłości. Stalin, wnikając w najbardziej, zdawałoby się, nieistotne szczegóły, starał się uchwycić całość, zorientować się co jeszcze pozostaje do zrobienia.

— Zawsze tak — skarżył się cicho jeden z towarzyszy stojący przy drzwiach kajuty Stalina. — Powinien odpoczywać, a on interesuje się wszystkim, wciąż pracuje. I to w taki upał! W tych warunkach ludziom nawet o wiele młodszym bywa ciężko.

— Więc zawsze tak pracuje? — spytał starszy pomocnik kapitana okrętu, który zszedł z mostku, żeby się dowiedzieć o planach na przyszłość.

— Prawie zawsze. My często jesteśmy zmęczeni, a on po prostu niezmordowany...

— Trzeba go oszczędzać... dla partii, dla narodu — zauważył ostrożnie starszy pomocnik.

— A myślicie, że po naszym przyjeździe do Soczi będzie odpoczywał jak się należy? Skądże? Jest tam teraz Waczesław Michajłowicz Mołotow. Jak się tylko spotkają, zasiądą do pracy. Towarzysz Malenkov jest w Moskwie, zdawałoby się, że daleko. Ale od czego telefon, czy połączenie radiowe?... Po przyjeździe, Stalin natychmiast poprosi o połączenie go z Malenkowem...

2. POCHWALCIE SIĘ PRZED MNA SWOJĄ GAZETĄ!

— Pochwalcie się przede mną swoją gazetą! — powiedział Stalin. Redaktor gazety wszedł szybko, trzy-

Drukujemy wyjątki powieści Pierwiecewa p.t. „Marynarze”, której pierwsze rozdziały mówią o pobycie Stalina na krążowniku „Mołotow”. Powieść ukazała się w ubiegłym roku w miesięczniku literackim „Okłabr”. Kolejność drukowanych przez nas fragmentów jest inna niż w oryginale. Tytuł wyjątku jak i śródtytuły pochodzą od redakcji.

mając w ręku kilka numerów. Jeden z nich, ostatni, został wydany z okazji przyjazdu Stalina na krążownik.

Stalin przeczytał zobowiązania marynarzy, bosmanów i pobieżnie zapoznał się z treścią innych numerów. Zawodowym gestem dziennikarza zmierzył format, dotknął odcieniami gatunek papieru.

— No cóż, format gazety jest dobry. Druk też niezły — powiedział.

niepotrzebne kadzenia... nie tylko wy — dużo gazet tym się zaraziło. Ale po co naśladować kiepskie przykłady! Porozmawiałem z bosmanem i znacznie więcej się od niego dowiedziałem, niż z tej całej waszej gazety.

— Uwzględnimy wasze uwagi, towarzyszu Stalin — powiedział redaktor gazety.

— Dawniej, żeby wydać gazetę, trzeba było ~~porządnie~~ popracować,



W. Puzyrkow

J. W. Stalin na krążowniku „Mołotow”

Właściwie redagowana gazeta stokrotnie wynagradza starania i czas, które pochłonę. Wszyscy od dawna znają wspólnie słowa Lenina o tym, że gazeta jest kolektywnym organizatorem mas. Wydaliście gazetę, towarzysze. A co w niej?... Tylko zobowiązania na cześć towarzysza Stalina. A dlaczego właściwie tylko na cześć towarzysza Stalina? — w głosie jego zabrzmiała nutka rozdrażnienia. — Ani towarzysze Stalin nie znajduje w tej gazecie nic do czytania, ani tym bardziej marynarze. W żaden sposób nie możemy się odzwyczaić od tego

ciężko było — powiedział Stalin. — Oczy jego zaświeciły młodzieńczym blaskiem. — Aby dostać się do naszej redakcji, trzeba było przełazić przez studnię.

Wszystkim, którzy stali obok i słuchali Stalina, mimo woli przypomniła się awlarska drukarnia, gdzie wychodziła gazeta „Proletariat Brzoła”. Wejście do drukarni prowadziło przez głęboką studnię. Zнали ten fakt z historii.

Było to dawno, w zaraniu rewolucji!

— A teraz proszę — ciągnął Stalin — okręt, radziecki okręt wojen-

ny, płynie po morzu. Ma własne pismo, własną drukarnię, własnych korespondentów. Jakżeż można w tych warunkach wydawać mierną gazetę?

3. ROZMOWA Z BOSMANEM

Stalin przyjrzał się zarumienionej twarzy Archipienki.

— A dlaczego młody marynarz ma czasem ochotę pokłócić się ze swoim podoficerem? — zapytał. Czy usposobienie ma takie? Czy też są inne przyczyny?

— Czasami usposobienie decyduje, towarzyszu Stalin. Przecież stawia się wymagania niezależnie... jak kto ma charakter. U mnie się jakoś obchodziło bez tego, ale u niektórych z moich towarzyszy docho-

wieka, pomaga mu prawidłowo kształtować swój charakter. Dyscyplina — to jakby dobry stalowy szkielet w żelbetonowej budowlu. Ale podoficer też nie powinien pozostawać w tyle. Bo inaczej może się zdarzyć, że marynarze, podporządkowując się dyscyplinie, będą milczeć przy dowódcy, a za plecami będą go wysmiewać. Dużo czytacie, towarzyszu Archipienko?

— Czytam. Nie mogę się jednak pochwalić, nie za wiele...

— A co czytacie?

— Gazety, regulaminy, broszury, artykuły — towarzyszu Stalin.

— A podręcznik dla bosmanów? — Nie. Takiego podręcznika jeszcze nie mamy.

— A czy potrzebny?

— Bardzo potrzebny. Właśnie podręcznik z różnymi wiadomościami.

— A książki czytacie?

— Książek mało czytam, towarzyszu Stalin. Czasu nie starcza.

— A ja czytam książki, towarzyszu Archipienko, Wiedzinie mało czasu więcej od was.

— No, bo to jesteście wy, towarzyszu Stalin.

— No to co, że ja?

— Przecież wy, towarzyszu Stalin jesteście człowiekiem do potęgi *) — wypalił Archipienko, jakby słowa te od dawna przemyslał.

— Człowiek do potęgi... — Stalin uśmiechnął się dobrodusnie, potem spoważniał. — Czy wy wiecie, towarzyszu Archipienko, że nie ma na świecie takiego, jak się wyraża, człowieka do potęgi. — Stalin łagodnym ruchem ręki powstrzymał odruch protestu bardzo wzruszonego bosmana i ciągnął: — To niemądry wymysł, i nie wasz wymysł — trafił do was przypadkowo. Jesteście człowiekiem silnym, młodym, energicznym, a przecież człowieka do potęgi, nadczłowieka, chcą stworzyć ludzie bezzilni, nie wierzący w siebie, zabobonni. Jestem takim samym człowiekiem jak i wy. Moi rodzice byli niewykształceni, ale byli to nieźli ludzie. Samo życie, ludzie z którymi pracowaliśmy, naród wydzignęli mnie i innych na kierowników państwa. Ale coż my, przywódcy, moglibyśmy zrobić bez was, uczciwych radzieckich ludzi. Nie tylko socjalizmu byśmy nie zbudowali, ale nawet tego okrętu, lub prostej chłopskiej chaty. Siła socjalizmu, towarzyszu Archipienko, leży nie tylko w przywód-

each...

Stalin, ujrzawszy błysk protestu w oczach marynarza, zdecydował się odpowiedzieć na to milczące przeczenie.

— Macie rację. Kierownik też wiele znaczy, od niego też dużo zależy. Gdyby tak postawił na czele tego okrętu kiepskiego dowódcę, nieukła lub złodzieja, nie pomogą najlepsze automatyczne mechanizmy. Zaprzeczacie statek. Dobry kierownik powinien żyć losem powierzonych mu ludzi, uczyć ich i uczyć się od nich. Lecz główna siła nie w kierowniku, a w narodzie. Budujemy nową rzecz; wspólnie ją budujemy, toteż kierownicy powinni się jak najczęściej naradzać i między sobą i z narodem. Oto ja się radzę was, a wy mnie. W naszej robocie, przy organizowaniu nowego ustroju, niezbędne jest wzajemne zaufanie, jedynolność. Powinniśmy radzić się jeden drugiego. Nieprzypadkowo nasza władza nazywa się radziecka.

tlum. D. DĄBROWSKA

*) W oryginale — człowiek czelowiekow (przyp. tłum.).

O dlegie to czasy, trzeci rok. Już niedługo człowiek będzie musiał pożegnać się z pracą w zespole artystycznym. Żal rozstawać się z zespołem, żal taki sam, jak przy rozstaniu z drogim przyjacielem. Przecież mocno się ludzie z sobą związali, obdarzyli zaufaniem, serdecznie przyjaźnią, taką, którą się pamięta do końca życia. A sama praca jaka ciekawa, jak wiele dawała zadowolenia...

Może wydawać się komuś: co to za praca — przygotować w ciągu dwóch i pół lat cztery sztuki? Chciałbym z takim porozmawiać. Potrafilibyśmy go już przekonać, że — jak na studenckie możliwości czasowe i materialne — to naprawdę dużo, tym bardziej, kiedy zaczynało się od podstaw, od tworzenia kolektywu czyli zwerbowania garstki zapalców teatralnej muzy, zapalców, których nie zrażały żadne trudności.

Zespół poważnie się rozrósł. Przybywali ludzie nowi, a jednak atmosfera pozostała ta sama, nawet lepsza, bo zaogniona nowymi speccznościami, jakie w stale się rozrastającym zespole muszą istnieć i muszą być wspólnie likwidowane.

Pamiętam, jak często dyskutowaliśmy ze sobą na temat: czy słusznie jest wprowadzenie dublowanych i. J. Zdania były mocno podzielone. Jedni twierdzili, że opracowywanie roli przez dwie, trzy osoby musi spowodować zniechęcenie, brak sumiennosci w pracy, zawiść w stosunku do swoich partnerów. Drudzy byli zdania, że właśnie przeciwnie, tego rodzaju system (zresztą konieczny przy dużym zespole, chyba że warunki pozwalają na opracowywanie dwóch sztuk od razu), inicjuje właśnie współzawodnictwo, wyrabia koleżeńską, daje konkretne zadania każdemu członkowi zespołu.

Spróbowałismy dublować. Pierwszą dublowaną rolę doktora Kleanta w „Nowym Świątoszku” — Dygala i Kotta opracowali Jacek i Edek — dobrzy koledy. Każdy z nich włożył maksimum wysiłku, wzajemnie sobie pomagali, dając przykład koleżeńskiemu współpracy. W konsekwencji dali obaj ciekawe

W naszym ZESPOLU

Na studenckiej scenie

postacie. Od tego czasu dublowanie weszło w tradycję zespołu.

Przestał istnieć problem dublowania, ale zjawiał się inny. Można go sformułować mniej więcej w ten sposób: czy każdy członek naszego zespołu może zagrać dowolną rolę, czy też do poszczególnych ról predystynowani są tylko tacy, a tacy koledzy i koleżanki.

Spór ten zaostriżył się zwłaszcza w trakcie opracowywania „Oto Ameryka” — Malta. W ostatniej jednoaktowej roli Wierzy miały grać: Nina i Helenka. Obie przystąpiły do pracy. Nina miała lepsze warunki zewnętrzne do odtwarzania postaci Wierzy, Helenka lepiej przeżywała rolę.

W trakcie prób okazało się, że Helenka ma duże trudności sytuacyjne, a Nina gra zasadniczo dobrze, tylko zakończenie sprawia jej trudność: nie potrafi pokazać przekonująco psychicznego przełamania się, zostaje do końca „dziewczyną o kamiennej twarzy”.

Ze względu na charakter tej drażliwej sprawy spór toczył się po cichu. Nie chcieliśmy wyrządzać krzywdy ani Helenie, ani Ninie. Zdania były jak zwykle mocno podzielone. Sprawa ciągnęła się do samej premiery. Na krótko przed nią reżyserka zdecydowała przy naszym współudziale, że Wierzę zagra Nina, a Helenka spróbuje po premierze. Później już nie wróciłismy do prób z Helenką i dotąd problem jest nie rozstrzygnięty.

Ale nie tylko problemy związane z samą organizacją pracy w zespole stanowiły przedmiot długich dyskusji. W równej mierze absorbowali nas zawsze wszystkie sprawy dotyczące sztuki. Wiele czasu poświęciliśmy dyskusjom nad przeczytaną przez zespół książką, względnie sztuką (każdy z człon-

ków zespołu czytał wiele sztuk przy wyborze programu dla zespołu), nie mówiąc o każdorazowych dyskusjach związanych z premierą któregoś ze szczecińskich teatrów. Nigdy nie narzucaliśmy tematu dyskusji — wypływał zwykle samorzutnie i raz podjęty trwał długo, aż do ostatecznego wyczerpania tematu.

Na jednej z dyskusji w klubie M.K. i P nad sztuką Ławreniewa „Za tych co na morzu”, w której braliśmy udział, nie wystarczał nam zaplanowany na nią czas, przeciągnęło się najpierw do 22.00 — to oficjalnie, a potem do 2-iej w nocy — już nieoficjalnie.

Najbardziej zapalaliśmy się w dyskusjach nad zagadnieniami światopoglądowymi i ideologicznymi, kiedy dochodziło do ostrych starć wypływających z rozmaitych przekonań odtwarzanych postaci sztuki. W związku z tym często podejmowanym tematem była sprawa światopoglądu aktora i związana z tym prawdziwość jego przeżyć na scenie.

W podejmowanych przez nas samych dyskusjach było dużo żywiołowości i to spowodowało, że często nie znajdował się nikt w zespole, kto by potrafił zebrać to, co było powiedziane i wyciągnąć ostateczne wnioski. Dużo spraw nadal pozostało nie rozstrzygniętych i nie wyjaśnionych.

Nakłada to w przyszłości obowiązek na kierownictwo zespołu — umiejętnego kierowania dyskusją, zapraszania osób, które potrafiłyby autorytatywnie dokonać ich podsumowania. Myślę, że szczególnie pomocny by nam mogli profesorowie i asystenci z katedr ideologicznych oraz literaci.

Czy o sprawach nauki dyskutujemy na zebraniach? Bardzo mało.

Często tylko kierownik, względnie któryś z członków zespołu, zapyta cię mimochodem: „No, jak ci idzie nauka”? Gdy wszystko jest w porządku, odpowiadasz — dobrze, kiedy coś nie gra, rozmowa się przeciąga, a ty bierzesz się w kupę i nadrabiasz zaległości.

Dużo jeszcze popełniamy błędów. Ot na przykład nie potrafiliśmy dotąd tak rozplanować naszych zajęć na uczelni i pracy w zespole, by prowadzić obie systematycznie, bez zrywów. Teraz właśnie, na krótko przed sesją, zespół formalnie przestał istnieć, a przecież winno być przeciwnie. W dniu sesji zespoły winny pracować normalnie.

Ciężko jest teraz rozkręcać od nowa całą robotę, kiedy wszystkie kółka pokryła rdza. Trzeba będzie wyteżone wysiłku całego zespołu, by odrobić stracony czas. Jest to poważny błąd w pracy naszego zespołu, świadczy on o braku systematycznego wdrożenia się do planowej pracy.

Błąd ten musimy jeszcze w tym roku usunąć i to w pracy nad obecnie przygotowaną sztuką radziecką: „Student III roku”. Sztuka ta wymaga dużego nakładu pracy i dlatego, by praca ta nie poszła na marne, musi być odpowiednio zaplanowana i rozłożona na poszczególne członków zespołu. Myślę, że i to zadanie niewątpliwie uda nam się zrealizować.

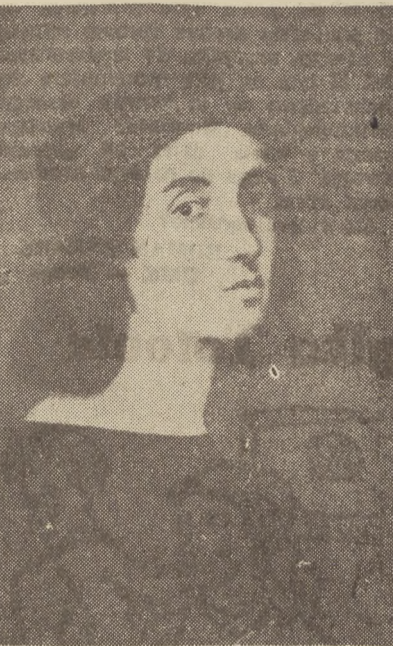
Jest w wielu z nas, może dzięki ogromnemu oddziaływaniu naszego przyjaciela i opiekuna — towarzyszy Basi — wiele pasji i umiłowania do tego rodzaju pracy, jaką prowadzimy. Zmusza nas ona do tego, że nie tylko z ochotą pracujemy nad samą sztuką, nad „amą grą i opanowaniem tekstu, ale także nad wykonaniem dekoracji i wieloma innymi sprawami, które sprawia, że pewnego dnia ukaże się w uczelni, względnie w Domu Dziecka w Policach, lub którejś z podszczecińskich wsi, ogłoszenie.

Amatorski Teatr Studencki przy WSE w Szczecinie wystawia dziś sztukę pt. „Student III roku”

KRZYSZTOF GAERTIG WSE — Szczecin

Kiosk KSIĄŻKOWY

Szkice o włoskiej kulturze



„Oto pogląd, który często zresztą w formie nie tak trywialnej wyrażany jest przez mieszczkańskich turystów odwiedzających Włochy:

Kraj łatwej enforii, kraj, gdzie nawet niegda upięksozona jest stale mocnym słońcem, wtopiona w świętost barw, wolna od plagi zimna, ożywiona winem. Kraj obdarowany tak, że nawet biedakom starczy na wdzięk gestu, niefrasobliwość.

Ten stereotypowy obraz żyje do dziś w literaturze burżuazyjnej. Jest przy tym

rzeczą interesującą i — jak postaramy się wykazać — znaną, iż pojawia się on przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, w literaturze nie włoskiej; można więc przypuszczać, że spełnia jakąś szczególną rolę właśnie w ogólnoburżuazyjnej mitologii literackiej” — pisze na początku swojej książki Marcin Czerwinski).

Mit „szczęśliwego lazzarone”, tak szeroko rozpowszechniony przez literaturę burżuazyjną, deformuje rzeczywistość, przemienia wszystko to, co we Włoszech nie utożsamia się z burżuazją i jej kulturą a mianowicie nie mniej ostrą niż w innych krajach walkę narodu o swe prawa.

Ale na tym nie koniec. Również wszędzie tam, gdzie burżuazja próbuje dać syntezę włoskiej sztuki minionych epok (np. Odrodzenia) rozpatriwała w oderwaniu poszczególne dzieła, nie dostrzegając całego spłotu społecznych przyczyn ich powstania; ukrywała w ten sposób tkwiące w sztuce nadzieje i dążenia jak najszerszych warstw narodu.

Celem „Tradycji włoskich” — jak pisze sam autor — ma być chociażby cokolwiek odzwierciedlenie naszego własnego sądu o tym, cośmy już wzięli z tradycji włoskiej. Dlatego książka Czerwinskiego nie jest obyczajnym zarysem dzieł kultury włoskiej; w sześciu ciekawie napisanych szkicach jest mowa tylko o tych wybitnych dziełach literatury i sztuki włoskiej, które w Polsce są najbardziej znane. Słusznie też najwięcej miejsca poświęcił autor wielkiemu rozkwitowi sztuki włoskiego Odrodzenia.

Estetycznie wydane szkice o kulturze włoskiej zawierają kilka reprodukcji wybitnych malarzy włoskich. Jedną z nich (autoportret Rafaela) zamieszczamy obok.

M. K.

*) Marcin Czerwinski — „Tradycje włoskie”. Czytelnik 1954. Str. 112, cena zł 5.—.

PRAWDA I WIELKOŚĆ Filmu włoskiego

Każde ukazanie się na ekranach naszych kin nowego filmu włoskiego staje się wydarzeniem kulturalnym dużej miary. Obojętne, czy to będzie film o walorach artystycznych bardzo wysokich, czy też — jak to się popularnie mówi — tylko „dobry”, zawsze wywołuje ożywione zainteresowanie krytyki, teoretyków filmu i ogromnej rzeszy widzów kinowych, którym nie często się zdarza z takim przekonaniem, zapałem i pasją rozmawiać i dyskutować o filmie — jak ma to miejsce w wypadku filmowych dzieł włoskich.

W prasie naszej widać już było artykułów próbujących określić „la-jemnicę” realistycznej włoskiej szkoły filmowej, styl, klimat, walory artystyczne i ideowe tych filmów, ich wielkiej zdolności przemawiania do widza, i wzruszania go. W gąszczu teoretycznych często rozważań przeciętny widz nie zawsze mógł znaleźć uzasadnienie swoich sądów i przeżyć. Pozostawała mu najczęściej własna prawda o filmie, subiektywne odczucie, które chociaż w swojej istocie pokrywa się na ogół z analitycznymi wywodami — to jednak przebiega w innej formie, bo w procesie bezpośredniego obcowania z dziełem sztuki. Nie znaczy to wcale, że krytyka nie powinna zajmować się problemami artystycznymi i ideowymi filmu włoskiego. Wprost przeciwnie — należy o tym pisać, ale trzeba to czynić tak, by trafiając w sedno, w samą istotę problemu filmowego realizmu włoskiego, wyjaśniać go i tłumaczyć, a nie tylko stwierdzać, że jest tak a tak. To trudne zadanie ma jednak i tę jeszcze pożyteczną stronę, że jego realizacja może przyczynić się do zebrania i logicznego u-systematyzowania pewnego materiału rzeczowego, który na pewno przy zachowaniu należytych proporcji, wynikających tak z odmiennej sytuacji społecznej i politycznej w jakiej znajduje się włoska kinematografia, jak i odmiennego jej doświadczenia, tradycji i kierunku rozwoju — przyda się naszym reżyserom, aktorom, a przede wszystkim autorom scenariuszy w ich działalności. Umieć twórczo, a więc nie naśladowczo, wykorzystywać wszystkie najcenniejsze dotychczasowe osiągnięcia postępowej, realistycznej włoskiej szkoły filmowej — oto zadanie, jakie wciąż jeszcze czeka naszych twórców realizmu socjalistycznego w filmie.

Te uwagi nasuwają, się znowu, z całą ostrością po obejrzeniu dwóch nowych filmów produkcji włoskiej: „Nadziei za dwa grosze” i „Rzym godzina 11”. Oba filmy poruszają problem bezrobocia, największej we współczesności włoskiej tragedii społecznej, wynikającej z kapitalistycznego ustroju. O tym, że zjawis-

ko to wyjątkowo silnie daje się we znaki mieszkańcom Włoch — może świadczyć tematyka większości włoskich filmów, jakie oglądaliśmy dotychczas. Od wstrząsającego filmu Vittorio de Sica „Złodzieje rowerów”, poprzez „Człowieka bez jutra”, „Droge nadziei” P. Germi „Cud w Mediolanie” Vittorio de Sica aż do ostatnich dwóch wymienionych — we wszystkich filmach zasadniczym i naczelnym tematem jest nędza i bezrobocie, tragiczna walka o chleb i prawo do życia. A nawet w innych filmach, na przykładzie innych zjawisk oskarżających ustrój, zagadnienie to, choć szkicowo, dokumentalnie jakby muśnięte — rysuje się jednak wyraźnie. Przykładem mogą być takie filmy jak „Mury Malapagi”, „Najpiękniejsza”. Wydawać by się mogło, że powielanie tego samego problemu w tak dużej ilości filmów może spowodować pewną tematyczną monotonię, a nawet nudę, która zabija zdolność oddziaływania filmu. Niebezpieczeństwo takie grozi filmom, których tematyka jest wyspekulowana, niecodzienna, bardzo jednostkowa, jak to miało i ma jeszcze miejsce w wielu filmach zachodnich typu psycho logiczno - analitycznych melodramatów w rodzaju: „Zagubione klucze”, „Siódma zasłona”, „Urodzony w październiku”, „Rosanna” i wielu innych, których prawdę o życiu i rzeczywistości narodu ukrywa się za zasłoną nieprawdopodobnych, nietypowych i przez to obojętnych dla widza zdarzeń. W realistycznych włoskich dziełach filmowych obawiać się tego nie należy, bo ich tematykę dyktuje życie, dyktują najważniejsze i najbardziej typowe zjawiska społeczne. Film włoski jest i dlatego jeszcze tak cennym i rzadkim zjawiskiem na tle produkcji kinematografii zachodnio - europejskiej, że poprzez realistyczne ukształtowanie tej tematyki walczy z niesprawiedliwością społeczną o prawo do pracy, godzi w ustrój polityczny Włoch.

Te walkę postępowych filmowców z całą ostrością na płaszczyźnie kulturalnej, artystycznej ogranicza w dużej mierze obawa przed cenzurą. I wydaje mi się, że brak jakichś radykalniejszych, czy nawet rewolucyjnych powizań, brak głębszego ujęcia zjawisk społecznych w filmie włoskim, tą właśnie cbawą należy

tłumaczyć, a niekoniecznie — jak to się u nas zdarza — brakiem dostatecznie wysokiej ideologicznej i politycznej świadomości twórców, którzy z konieczności muszą zatrzymać się w połowie drogi, nie wypowiedzieć całej prawdy do końca. Stąd też tak bardzo często bohaterowie włoskich filmów nie mogą sobie zdawać sprawy skąd bierze się ich tragiczny los, ich nędza, nie mogą otworzyć z tym losem walczyć, pozostawieni są sami sobie, swym własnym codziennym kłopotom i nieszczęściom, z których ustrój nie pozwoli im wyzwolić. Konsekwencja — duża ilość filmów, których ostatnie sceny kończą się tak bardzo tragicznym akcentem, atmosferą beznadziejności i pesymizmu. Żeby sobie to dobrze uświadomić wystarczy przypomnieć treść i zakończenie filmów, których nawet tytuły mają swoją wymowę: „Człowiek bez jutra”, „Złodzieje rowerów”, „Droga nadziei”, „Dzieci ulic”.

Realistyczne odtworzenie włoskiej rzeczywistości przesądza w dużej



Scena z filmu „Nadziei za dwa grosze”.

mierze o sile oddziaływania filmu na widza. Tu jednak mamy już do czynienia z drugim problemem filmu włoskiego, z zagadnieniem jego artystycznego oblicza. Zagadnienie to rozpatrzmy na przykładzie „Nadziei za dwa grosze” R. Castellanigo i „Rzym godzina 11” Giuseppe de Santisa. „Nadziei za dwa grosze” to opowieść o losach młodego, sympatycznego chłopaka, który po odbyciu służby wojskowej wraca do swego rodzinnego miasteczka Cusano i nie może znaleźć pracy. W domu zastaje nędzę: rodzina nie ma z czego żyć. Antonio musi się chwycić rozmaitych dorywczych zarobków, zmieniając często chlebodawcę. Znaleźcie stalej pracy jest nieosiągalnym marzeniem młodego Antonia. Pozwoliłoby mu ono nie tylko zapewnić egzystencję rodzinie, ale zdecydowałoby również o jego osobistym losie — o ożenku z miłą, prostą dziewczyną Carmelą, której ojciec nie pozwala na małżeństwo z bezrobotnym. Po długich perypetiach i bezowocnych próbach znalezienia przez Antonia pracy w Neapolu, młodzi decydują się pobrać i wspólnie iść walczyć o chleb i prawo do życia.

Tragiczny temat filmu został tym razem potraktowany w formie komediowej, z humorem, a nawet z pewną lekkością. Humor to bardzo specyficzny, będący na pograniczu tragizmu i groteski. Taki styl i klimat wyznaczały treść i akcja filmu, na który patrząc, człowiek winien się uśmiechać przez łzy.

„Rzym godzina 11” — jedno z największych dzieł włoskiej kinematografii — problem bezrobocia porusza w całym tragizmie i grozie — traktując go tak, jak na to zasługuje autentyczne zdarzenie, na którym oparła została treść filmu. Fabuła zupełnie nieskomplikowana, tak prosta jak proste było zdarze-

nie, które miało miejsce w Rzymie w 1951 r.

W gazecie ukazało się ogłoszenie prywatnej firmy, że zatrudni jedną sekretarkę biegle piszącą na maszynie. Na wyznaczoną w ogłoszeniu godzinę przybyło 200 bezrobotnych kobiet w nadziei otrzymania pracy. Pod naporem ich ciężaru zawaliły się schody, grzebiąc jedną z nich pod sobą, inne pokaleczone i ranne odwieziono do szpitala.

Ten kulminacyjny punkt filmu, węzłowa, dramatyczna sytuacja — dzieje się na samym prawie jego początku. Od tej sytuacji przechodzimy do losów poszczególnych bohaterów filmu, uczestniczek tego nieszczęśliwego wypadku. Wiele z nich przeżywa swoje osobiste, bardzo ludzkie dramaty, indywidualne niepowodzenia i nieszczęścia, ale wszystkie wiąże bardzo ściśle jedno pragnienie, jeden los, który warunkuje ich prywatne życie i bólączki — brak środków do życia, bezrobocie, nędza.

Dzieło Giuseppe de Santisa — jednego z najwybitniejszych reżyserów włoskich — twórcy „Tragicznego pościgu” i „Nie ma pokaju pod oliwkami” wzrusza widza do głębi, wstrząsa nim. Film przeżywa się głęboko, scena po scenie zapadają na długo w pamięć i wywołują nie dające się chyba opisać wrażenia. Film R. Castellanigo — „Nadziei za dwa grosze” jest na pewno w tym zestawieniu dziełem mniejszej klasy, ale i tu prawda ludzkich losów, prawda wewnętrznych przeżyć bohaterów, świetnie oddane bogate tło akcji, atmosfera prowincji i środowiska, z którego wyrósł Antonio — wywołują u każdego widza naprawdę silne przeżycia. Widz angażuje się uczuciowo i intelektualnie w to, co dzieje się na ekranie, doznając tych wrażeń, których dostarczyć może tylko prawdziwe dzieło sztuki.

Sześć filmów o tematyce bezrobocia, z tych dwa omawiane, stykają się ze sobą na dwóch biegunach: problem i wyraz artystyczny, walory artystyczne. Poza tym jakże są różne w swojej konstrukcji psychologicznej, motywacji, jak wielobarwnie, wyraziście i plastycznie, a za każdym razem bardzo indywidualnie, zgodnie z treścią i układem akcji, przeobleczone we właściwy sobie kształt artystyczny, a więc w formę ściśle odpowiadającą treści, podporządkowaną jej z dużą precyzją i rygiorem.

Artystyczny i ideowy sukces filmów „Rzym godzina 11” i „Nadziei za dwa grosze” jest wynikiem nie tylko doskonałej reżyserii i bardzo przekonującej, pełnej prostoty i prawdy gry aktorów (z świetnym zespołem aktorskim w filmie de Santisa — E. Varzi, L. Padovani, C. dell Poggio, L. Bose, R. Vallone — śmiało mogą konkurować odtwórcy filmu „Nadziei za dwa grosze”, w większości zwyczajni, przystojni ludzie, nie ze szluka aktorską nie mający wspólnego) ale przede wszystkim jest zasługą dobrego scenariusza, wyznacającego cały tematyczny i dramatyczny konflikt filmu. Filmy te urzekają swą prostotą, wielkim ładunkiem człowieczeństwa, bezpośredniością, wywołując mocne przeżycie i wrażenie, przekonując swoją ideową treścią. Działają tak dlatego, ponieważ są prawdziwe, to znaczy, że bohaterowie, postaci w nich występujące, ich losy, walki wewnętrzne i przeżycia nie są przypieczone do problemu, nie są ilustracją z góry założonej tezy społecznej. Ideowa i artystyczna wymowa filmu rysuje się właśnie poprzez pryzmat przeżyć ludzi, ich pełne życie wewnętrzne, poprzez ich uczucia i działalność w konkretnej, życiowej sytuacji społecznej.

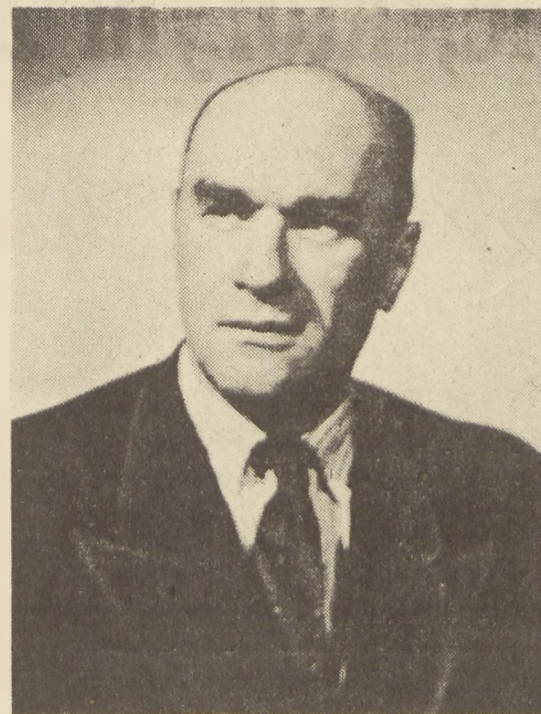
W tak przemysłowym i zrealizowanym założeniu ideowo - artystycznym nie ma miejsca na fałszywy patos, myślowe i sytuacyjne schematy, papierowości postaci, publicystyczną retorykę i wykrzykiwanie na każdym kroku: jest nędza, bezrobocie, bieda, głód. W obu omawianych filmach przemawiają do widza i oskarżają ustrój, artystycznie skomponowane obrazy, które prawdziwie przedstawiają życie prawdziwych ludzi.

W tym tkwi prawda i wielkość realistycznych filmów włoskich.



Scena z filmu „Rzym — godzina 11”.

Jarosław Iwaszkiewicz



20 lutego br. Jarosław Iwaszkiewicz obchodził 60-lecie urodzin. Poeta i znawca muzyki, prozaik i publicysta jest także płomiennym bojownikiem o pokój i przyjaźń między narodami. Zespół Redakcji „Prostu” składa Jubilatowi życzenia długich lat owocnej pracy dla dobra Polski Ludowej, dla dalszego zacieśnienia przyjaźni między narodami walczącymi o pokój

Nowe wiersze

* * *

Chciałbym napisać, jak pies biegnie,
Wóz cały w słońcu jedzie laskiem,
Baba rowerem skreca jezdnią
I bańki lśnią blaszany blaskiem.

Czerwony pociąg mija domy,
A z elektrowni czarne dymy,
Spłoszony kasztan szarpie brony,
Topola składa liść jak rymy.

Żeby to wszystko w słońcu błysło
I żeby było tak jak żywe —
I żebyś ty to widział wszystko,
I żebyś był, jak ja — szczęśliwy.

* * *

Widzisz, wyjeżdżasz na długie czasy,
zajmą cię inne sprawy,
pójdziemy sobie długim spacerem
na pożegnanie Warszawy.

Na górze chmury, błoto na dole
i rozjeżdżone ulice,
nad Starym Miastem odbudowanym
gołębie i gołębice.

W zakrytym oknie lampa się pali,
skrzypce wesołe rzepolą,
a mury rosną. Na przyszłą wiosnę
wzrosną jak kłosy nad rolą.

Rośnie nam miasto, rosną nam ludzie,
rośnij i ty, nabierz siły
i jak to zawsze powiadam tobie:
bądź mądry, mężny i miły.

* * *

Jakaż się w rymie takim kryje tajemnica,
Że wszystko się w nim stapia, wszystko wykryształa?
I ta urna umarłych — gliniana żalnica —
Popioły wszystkich śmierci w nowe życie scala?

Jakimże kształtem trzeba te rymy ujmować,
Aby wieczność, co w sercu zjawia się i znika,
Ponad tym, co tu trzeba cierpieć i miłować,
Unosić — niby sztandar w rękę robotnika?

I jakie dobrać słowa, jakie dobrać nuty,
Aby nie brzmiały gorzko, niby śmiech na grobie?
I poprzez wszystkie skargi i wszystkie zarzuty
Pozostać wiernym — wiernym, wiernym sobie

* * *

Ta reszta moich dni niech będzie tęsknotą
do tego, co się spełnić ma dla moich wnuków,
i niechaj prawdziwie świadczy z największą prostotą
mój wiersz napięty jak cięciwa łuku.

Niech strzały moich słów strzelone wysoko
spadając piersi na przetrzał przeszycią,
aby poczuła ziemia, że serce i oko
moje — dla niej i przez nią tylko żyją.

Niech słowa mej miłości wielkiej dla człowieka
ułożą się kamieniem na dnie możnych prądów
i niech płynie nad nimi wracących czasów rzeka
dążąca do leżących w jasnym słońcu łądów.

I niech na supraportach nowych domów kute,
zaplatane w kamienne paprocie i fladry
słowa me świadczą, pełnią lat zasnuje,
że poeta przeczuwa więcej niż wie mądry.

POMYŁKA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

pracuje, zastanowi się, i można mieć pewność, że pracę swoją poprawi.

Zarzutów skierowane pod adresem koła (nie tylko zarządu) II roku wydz. elektrycznego są bardzo poważne i powtarzają się systematycznie. A nie tylko nie jest lepiej, ale z dniem każdym sytuacja staje się gorsza. Nikt w kole nie czuje, że to jego osobista ambicja została dotknięta. Wiele nawet sądzi, że to może i lepiej, gdy nie ma zebrania, gdy można spokojnie oddać się nierobstwu i „umywać ręce” od wszystkiego.

Tymczasem w czasie studiów nikt z roku nie wstąpił w szeregi ZMP, żaden z zetempowców nie wstąpił w szeregi partii. Wiele spraw organizacyjnych czeka na opinię kolektYWu. Czekają również gdzieś w powiecie wiejskie koło ZMP, któremu trzeba pomóc. Inni realizują już swe przedzjazdowe zobowiązania, oni jeszcze ich nie podjęli. W innych kołach dyskutuje się, organizuje imprezy — u nich unika się okazji wspólnego spotkania i naradzenia się nad sytuacją.

JAK BĘDZIE JUTRO?

Czy historia się powtórzy i na zebranie wyborcze przyjdzie znowu 30 proc. członków? Do tego nie wolno dopuścić!

Gdzie leżą więc przyczyny tej nie normalnej sytuacji? Można by wymienić ich jeszcze wiele obok zasadniczej tj. obojętności członków koła dla spraw kolektywu. A więc między innymi fakt, że koło dzięki nieprzemysłanej polityce kadrowej zostało pozbawione dobrego aktywu, który przeszedł do pra-

cy w wyższych instancjach organizacyjnych i stracił z kołem kontakt. Słaba pomoc grupy partyjnej, której członkowie wyłączyli się z pracy koła zapominając, że pozostają nadal członkami wielkiego kolektywu roku i nadal odpowiedzialni są przed partią za istniejącą na kole sytuację. Będzie również jedną z przyczyn mało twórczy i pozbawiony inicjatywy styl pracy zarządu koła i organizatorów grup.

Wszystkie te fakty warte są przedyskutowania na zebraniu wyborczym. Nie powinny jednak przysłonić sprawy zasadniczej — obojętnego stosunku wszystkich członków do spraw najbardziej osobistych, do spraw własnego kolektywu.

*

Trudno w tej chwili przewidzieć czy gdyby inaczej działało się w kole II roku, to nie miałyby miejsca pomyłka, która wywołała takie poruszenia, a także i ten artykuł. „Błąd w metodzie”, jaki zdarzył się koledze Pierzakowi, może się zdarzyć każdemu i zawsze ktoś może być poszkodowany. Jednak z pewnością możliwości popelnienia tego rodzaju pomyłek zmalałyby do minimum, gdyby nie cały szereg pomyłek, które popelnili poszkodowani i nieposzkodowani członkowie koła, zapominając o tym, że za pracę organizacyjną, za jej pomyłki i niedostatkami, w pierwszym rzędzie sami ponoszą odpowiedzialność.

Jeżeli najbliższa rozmowa telefoniczna nie będzie dla niektórych członków koła zbyt przyjemna, to przypuszczać należy, że wyciągną z niej tym razem słuszne wnioski — to już nie będzie sprawa pomyłki.

RYSZARD WIŚNIEWSKI

Kupon premiowy nr 35

DOMU KSIĄŻKI I REDAKCJI POPROSTU

upoważniający do wzięcia udziału w losowaniu bonów książkowych o wartości 500, 300 i 200 zł

Nazwisko i imię

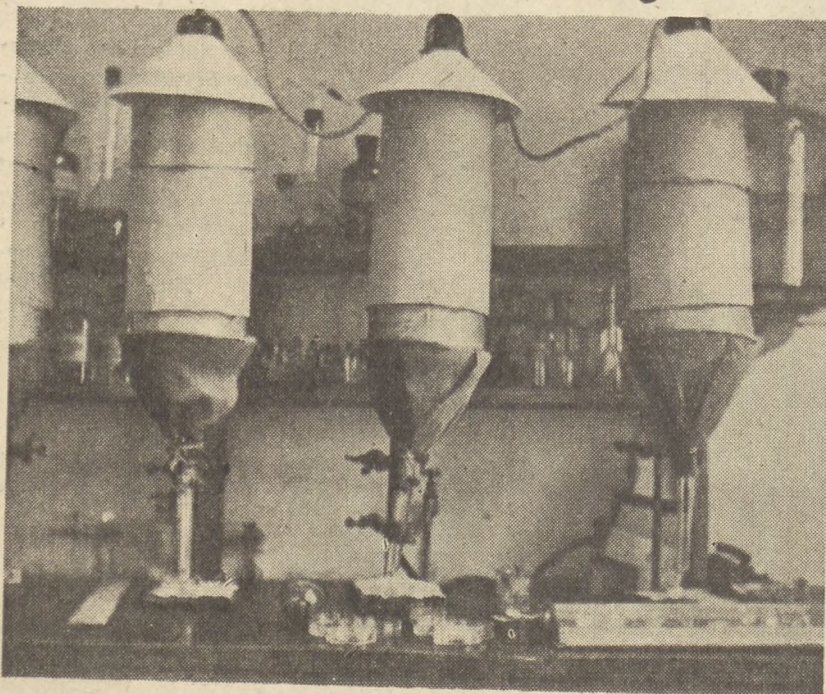
Adres

Uczelnia

wydział

rok

Bakterie, którym zawdzięczamy życie



Dzięki tym aparatom możemy „wytłapać” z gleby nawet mikroskopijne żyjątka. Foto A. Musiał

Każdy z nas niejednemu raz spotkał w polu czy ogrodzie dżdżownicę, zwaną popularnie glistą ziemną. I jeżeli właśnie wtedy nie szukaliśmy robaka na haczyk wędkę — spotkał takich nie uważaliśmy na pewno za przyjemne. Ośliźnięcie to jakieś i nie wiadomo po co żyje...

Sprawy dżdżownic nie da się jednak zbyt pogardliwym wzruszeniem ramion — jest ich zbyt wiele i zbyt dużą rolę odgrywają w rolnictwie. Gdybyśmy zbrali je wszystkie z 15 cm warstwy ziemi o powierzchni 1 ha i położyli na olbrzymią wagę — okazałoby się, że ważą one — nie próbujcie jednak nawet zgadywać — 4.000 kg!

Ale nie wyobraźcie sobie, że są w glebie żywe organizmy, które ważą jeszcze więcej — są to bakterie. Jeżeli przyjmiemy, że w 1 gramie gleby znajduje się ich 600 000 000, to ogólna waga wszystkich bakterii na obszarze 1 ha w 15 centymetrowej warstwie gleby wynosi ni mniej ni więcej tylko... 10.080 kg. Bakterie tworzą wraz z glonami i grzybkami tzw. mikroflorę. Otóż ta cała mikroflora waży 20.219 kg/ha.

Ale na tym jeszcze nie koniec. Poza mikroflorą i dżdżownicami w glebie żyje jeszcze wiele innych organizmów żywych — różnych pierwotniaków (151.000 000 w 1 dm³), owadów bezskrzydłych, pędraków, drutowców, turkuców - podjadków. Wszystkie one razem (łącznie z dżdżownicami i całą mikroflorą) ważą — 25.477 kg/ha, co równa się wadze mniej więcej 50 krów!

Przytoczone liczby pozwalają uświadomić sobie, że gleba stanowi żywy twór przyrody. Należy poznać życie, które się w niej toczy, ma ogromne znaczenie dla sprawy produkcji rolnej. Ale z tym poznaniem nie jest u nas najlepiej

— brak dotychczas jakiegokolwiek całościowej publikacji naukowej omawiającej problem żywych organizmów w glebie. Tym większego wagi znaczenia nabiera praca kandydacka mgr Jana Hryniuka, stawiająca sobie za zadanie zbadać i wyjaśnienie poważnej części wymienionego zagadnienia — wpływu chemicznego działania nawozów na żyjącą w glebie faunę. Temat pracy wiąże się ściśle z kierunkiem badań zakładu, w którym mgr J. Hryniuk pracuje — jest to zakład chemii rolnej SGGW, kierowany przez profesora Górskiego. Zakład ten prowadzi wieloletnie, ważne dla naszego rolnictwa, badania.

Mgr J. Hryniuk zastawia w zakładzie przy niezbyt skomplikowanych, ale dość tajemniczo wyglądających aparatach (możecie je zresztą zobaczyć sami na zdjęciu). Bez nich byłoby mu trudno prowadzić swe badania, gdyż... nie miałby samego przedmiotu badań — tych wszystkich wymienionych już mieszkańców gleby.

Sprawa nie jest prosta: jak wyłowić z gleby drobne, nieraz mikroskopijne żyjątka? Nie trzeba ich wcale wyławiać. Same posłusznie gromadzą się w szklanych naczynkach podstawionych pod widoczne u dołu aparatu lejki. Czyżby to zapewne niezbyt chętnie, ale cóż robić, kiedy od góry aparatu promieniuje światło zarówno elektryczne, no i naturalne ciepło. Górna warstewka gleby (umieszczona w okrągłym pudełku o dnie z drobniutkiego sita) wysycha i żyjątka uciekają w dół, do dołu, przy czym czynią to tak długo, aż znajdą się na samym sicie, poprzez które wpadają już do podstawionych naczyń.

W najbliższym sąsiedztwie tych mało skomplikowanych, a jednak jakże bardzo pożytecznych aparatów, rozmawiamy z mgr J. Hryniukiem o roli, jaką odgrywają w gle-

bie żywe ustroje. I tu znów kilka zaskakujących liczb. Czy wiecie, że ilość odchodów wydzielonych przez dżdżownicę w ciągu roku na obszarze 1 ha wynosi od 1000 do 7000 kg? Albo, że 200 000 dżdżownic na obszarze 1 ha jest w stanie przerobić w ciągu 10 miesięcy 1/10 część tej ilości ściły, jaką dostarcza na tymże obszarze las? A odchody — zwane w terminologii naukowej ekskrementami — to bardzo pożyteczna rzecz: zawierają one m. in. dużo węgla wapnia, który przyczynia się do tworzenia gruzelkowatej struktury gleb, wpływającej na ich żyzność.

Dzięki dżdżownikom i innym robakom, żyjącym w glebie, rozdrabnianie są również resztki roślinne, co przyczynia się do wymieszania części glebowych. Ale najważniejszą rolę odgrywają tu drobne ustroje, a zwłaszcza bakterie. Można powiedzieć, iż gdyby nie ich działalność — obumarłe rośliny i zwierzęta nagromadziłyby się w ilościach uniemożliwiających życie roślin, zwierząt i ludzi.

Nie wszyscy mieszkańcy gleby bywają jednak pożyteczni; są wśród nich oczywiście i szkodnicy, jak np. drutowce, turkucy - podjadki i niektóre obleńce.

Znamość tych wszystkich spraw jest nieodzowna przy badaniu

wpływu nawożenia na faunę. Chodzi o stwierdzenie tych skutków i wysnucie wniosków dla praktyki rolniczej. Praca dydaktyczna mgr J. Hryniuka nie jest jeszcze ukończona, trudno więc mówić o jakichś konkretnych wynikach badań. Niemniej jednak można już dziś sądzić, że powinna ona przynieść naszemu rolnictwu praktyczne korzyści.

Dotychczasowe doświadczenia dostarczają już nieco interesującego materiału. Nie będziemy w tym miejscu szerzej o nich się rozwodzić, wspomniemy tylko jako o pewnej ciekawostce, że działanie amoniaku wpływa na bardzo silną migrację żywych organizmów w głąb gleby. Określona dawka amoniaku wywołała już po 1 godzinie takie skutki, jakie daje 48-godzinne naświetlanie w aparacie doświadczalnym.

Jeżeli już wspominamy o amoniaku, to warto też powiedzieć o poważnym osiągnięciu naukowym Zakładu Chemii Rolnej SGGW uzyskanym we współpracy z innymi zakładami naukowymi — przekazaniu do produkcji rolnej amoniaku jako płynnego nawozu sztucznego. Ten nowy w polskich warunkach nawóz jest o wiele tańszy niż nawozy syplik, dając równe, a nawet niekiedy nieco wyższe plony.

R. M.



Zakład Chemii Rolnej równolegle z pracą naukową prowadzi normalne zajęcia dydaktyczne. Na zdjęciu: studenci II roku wydz. rolnej SGGW: Wiesław Ryplik i Kazimierz Wojnowski w czasie wykonywania ćwiczeń pod kierunkiem asystenta mgr Olgierda Nowosielskiego. Foto A. Musiał

Sprawa warta dyskusji

By studia były twórcze i radosne

Kol. Sabiło w swoim artykule pt. „Sprawa warta dyskusji” poruszył bardzo ciekawą i istotną sprawę. W interesie studentów leży bowiem jak najgłębsze przemyslenie istoty i celu swojej paroletniej pracy studenckiej, skierowanie głównej uwagi nie na studia jako cel sam w sobie, ale na przyszłą pracę zawodową. Taki jest bowiem sens walki o wyrobienie zamiłowania do przyszłego zawodu jako podstawy twórczego stosunku do nauki.

Może ktoś powiedzieć, że nie ma sensu zabrzyniać na studiach człowieka, który w tym kierunku nie ma zainteresowań. Ale co wtedy robić z tymi, którzy nie mają jeszcze sprecyzowanych zainteresowań, lub którzy „trafili” na „nie swój” kierunek? Co do tych ostatnich: rzadko przecież na studia weterynarii przychodzi uzdolnieni miłośnicy sztuk pięknych, albo na filologię — zapaleni fizycy. Trafiają się raczej pomyłki tego rodzaju, jak: weterynaria czy medycyna, literatura czy historia. Ponieważ są to zbieżne kierunki studiów, dosyć łatwo będzie przestawić pewne plany życiowe na inny tor.

Bo uważam, że w żadnym wypadku nie wolno rezygnować. Przecież w każdym człowieku można wyrobić zamiłowanie do określonej pracy przez pokazanie mu jej piękna, jej perspektyw. I to właśnie jest zadaniem uczelni i naszej organizacji, zadaniem pięknym i ambitnym.

Nie zawsze zadanie to spełniamy. Na I roku weterynarii znalazła się Danuta Orlik, która wolała by studiować medycynę. Po pierwszym semestrze rzuciła nasze studia, oświadczając, że... „nie myśli być rakażem”. Czy stanowisko takie mogłoby się zmienić, gdyby profesorowie i aktywiści pomogli Danie w zrozumieniu jej przyszłej pracy, gdyby ktoś kochający swój zawód przedstawił całe jego piękno? Myślę, że tak.

Wśród wielu nawet dobrych studentów, aktywistów, spotkać można ludzi, którzy uczą się dla samej nauki. Mija semestr za semestrem, a oni nie wiedzą nic właściwie o swojej przyszłej pracy, bo nie wyobrażają sobie siebie jako zawodowców praktyka. Lub — co gorsza — widzą same cienie swego zawodu.

Dlaczego tak się dzieje? Czasem winien jest temu jakiś utarty, lekceważący sąd o danym zawodzie, czasem ktoś się „sparzył” na niefortunnym przykładzie. Ale najczęściej decyduje o tym nieznajomość swojej przyszłej pracy — brak styczności z fabryką, szkołą, czy wio-

ką, w której będzie się kiedyś pracować.

I znów przykład: na III roku weterynarii jest Janek Krzyżanowski, jeden z lepszych studentów i „stary” aktywista. Zdecydowanie twierdzi, że... lubi swój kierunek studiów, podoba mu się nauka, ale zawód weterynarza nie! — „Nasza praca — mówi on — to rakażstwo. Lekarze podchodzą do zwierzęcia z punktu widzenia: warto czy nie warto leczyć. Nie widzę nic pięknego, ani wzniosłego w takiej pracy”.

Janek twierdzi, że będzie lekarzem weterynarii — bo... musi. Czy tak być powinno? W jaki sposób zapobiec podobnym wypadkom?

Mam koleżankę, która na Politechnikę przyszła bez przekonania o własowym wyborze kierunku studiów. Pewnego razu pojechała z grupą na wycieczkę do Nowej Huty. Po przyjeździe powiedziała do mnie: „Jakie to wszystko porywające! Jak pięknie jest pracować w tym zawodzie!” I od tej chwili Joła zaczęła widzieć piękno swej przyszłej pracy, spożyła innymi oczyma na studia.

Inny fakt: Krzysiek, który z lekką niechęcią traktował chirurgię, przeczytał „Iwana Iwanowicza”. Od tej chwili — chirurgia jest jego najbardziej lubianym przedmiotem. Człowiek jest wrażliwy na piękno — i jeśli zobaczy je w pracy, czy nauce — pokocha je. A pokazywać nam to piękno powinni ludzie już pracujący: robotnicy, inżynierowie, lekarze i rolnicy. Wskazywać na nie powinna literatura i sztuka.

Czy to znaczy, że trzeba malować wszystko w różnych kolorach? Oczywiście nie! Tylko znając blaski i cienie danej pracy możemy iść przygotowanie w teren. Przecież piękno pracy polega na tym, aby skutecznie walczyć z brakami, pokonywać trudności.

Są jeszcze u nas tacy, którzy uczą się — bo „zawód to forsą w rękę”, drudzy zaś — bo ich praca będzie potrzebna narodowi. Trzeba przyznać, że drugi pogląd jest słuszny, ale... uczymy się przecież nie tylko dlatego, że nasza praca jest potrzebna — ale dlatego, że stanowi sens życia człowieka, że czyni go szczęśliwym.

I gdy będziemy patrzeć w skrypt widząc „swoją” fabrykę, „swoją” klinikę czy szkołę, gdy nauczymy się marzyć o naszej przyszłej pracy — twórczy i radosny będzie okres naszych studiów. A jeszcze więcej pożytku i radości da nam później praca zawodowa.

WANDA RANDAS
UMCS—Lublin

Dyskutujemy JAK SIĘ UCZYĆ

Jeszcze o „Indywidualistach”

Czytając artykuł kol. Mariana Morawczyńskiego pt. „Co robić z takimi indywidualistami?” nasunęło mi się spostrzeżenie, że w wielu wypowiedziach błędnie rozumiana jest praca w zespołach. Praca w zespole nie powinna przecież polegać na czytaniu notatek z wykładów czy podanej lektury systemem: jeden czyta inni słuchają. Od po-

czątku studiów uczyć się w różnych zespołach i z doświadczenia wiem, że system ten nie dał mi korzyści. Słuszniejsze jest chyba poświęcenie pracy w kolektywie na pogłębianie i powtarzanie znanego już materiału. Przecież nasza nauka opiera się nie tylko na wykładach, ale także na samodzielnym studiowaniu literatury. I właśnie w zespołach każdy powinien podzielić się z innymi tym, co przeczytał dodatkowo oraz przedyskutować wnioski, które nasunęły mu się.

Z problemem tym łączy się sprawa „indywidualistów”. Ja jestem t.zw. „wzrokowcem”: lepiej zapamiętam materiał, gdy przeczytam go sama. Nie zgodzę się jednak z tym, że każdy „wzrokowiec” po przeczytaniu materiału będzie go długo pamiętał, jeżeli nie „rozgrzeje” go wspólnie z kolegami, jeżeli nie będzie dyskutował nad przeczytaną książką czy notatkami.

Chciałabym poruszyć jeszcze jedno zagadnienie: czy nauka w zorganizowanych zespołach jest jedyną formą kolektywnej pracy? Przyszedłoby się przecież abyśmy nie zacieśniaли się w nauce do ram własnych kolektywów. Niech dyskusja toczy się nie tylko na zebraniach kolektywu ale i z członkami innych zespołów np. w czasie przerw między wykładami, czy różnych innych spotkań. Niech te dyskusje nie wpływają z obawy, że profesor czy asystent będzie egzekwował nasze wiadomości, ale z pasji, która każe nam rozstrząsać problemy.

I jeszcze jeden problem, już nie indywidualizm ale jego gorsza odmiana, t.zw. „sobokstwo”. Ożdo spotkam wielu kolegów, którzy strzegą swoich wiadomości, które zdobyli np. przez przeczytanie różnych książek. Bardzo to ładnie z ich strony, że czytają dużo więcej niż inni. Ale wydaje mi się, iż strzeżenie zdobytych wiadomości dla siebie i egzaminatora wypacza sens naszych studiów. Koledzy ci w kolektywach słuchają najczęściej tylko tego, co mówią inni. Co zrobić z takimi?

Sprawa ta jest bardzo ważna i powinniśmy się bliżej nią zająć w naszej dyskusji. Pomijam już to, że tacy koledzy nie rozumieją roli kolektywów — ale niepokoi mnie ich przyszłość. Czy będą to rzeczywiście „oficerowie produkcji”, czy też wybujały indywidualizm goniący tylko za osobistą sławą? Ze swej strony polecam wszystkim tym kolegom książkę Malcewa „Z całego serca”.

HALINA LAURISZ
WSE — Szczecin

Po konferencji rektorów i dziekanów uniwersytetów

Sprawa studiów uniwersyteckich

Konferencja rektorów i dziekanów uniwersytetów, obradująca w Łodzi w styczniu br., była dalszym etapem w rozwijaniu walki o wyższą, socjalistyczną jakość kadr kształconych przez uniwersytety. Wytyczne tej walki ustalone na kwietniowym zjeździe rektorów i dziekanów szkół wyższych wskazywały następujące drogi do podniesienia jakości pracy wyższych uczelni: walka o twórczy stosunek kadry naukowej do nauki poprzez przyswajanie metody materializmu dialektycznego, rozwijanie socjalistycznego stosunku do nauki wśród młodzieży, rozwijanie socjalistycznego stosunku młodzieży do społeczeństwa i do pracy.

Zadaniem konferencji łódzkiej było podsumowanie doświadczeń zebranych w toku realizacji tych wytycznych, sprecyzowanie ściślejszych dyrektyw pracy poprzez dostosowanie tych ogólnych wytycznych do specyficznej problematyki uniwersyteckiej. Tak więc na konferencji łódzkiej postawiono zagadnienie profilu absolwentów uniwersytetów i zagadnienie miejsca, jakie uniwersytety zajmują w systemie szkolnictwa wyższego, omówiono problematykę procesu nauczania i warunków, jakie muszą być spełnione, aby ogólnie wytyczone zjazdu zeszłorocznego mogły zostać zrealizowane.

Nie zamierzam przedstawiać tu sprawozdania z całości obrad konferencji i omawiać wszystkich postawionych na niej zagadnień. Pragnę wskazać niektóre sprawy, które, jak sądzę, szczególnie mogą interesować studentów.

Dr JAN SZCZEPAŃSKI
rektor Uniwersytetu Łódzkiego

studenci mogliby poświęcić na pracę samodzielną.

Konferencja zalecała również przedyskutowanie podręczników i skryptów dla zbadania ich treści. Zwrócono również uwagę na konieczność lepszego wiązania studentów z pracą katedr, na ujemne skutki jakie przejawiają się w pracy grup wskutek tego, że grupy studenckie istnieją jakby „między” katedrami, że nie są związane mocno z tymi zasadniczymi komórkami pracy uniwersyteckiej. Za mało mówiono o pracy kół naukowych i sprawę tę w dyskusji podniósł dopiero przedstawiciel Zarządu Głównego ZMP.

Mówiono natomiast o warunkach, jakie muszą być spełnione, aby można było rozwijać w młodzieży twórczy stosunek do nauki, dać jej możliwość opanowania naukowej metody i umiejętności wykorzystywania teorii w praktyce. Oto najważniejsze z nich: a) zmniejszyć obowiązkowe obciążenia i dać więcej czasu na pracę samodzielną, b) ożywić koła naukowe i związać je z pracą katedr; c) podnieść poziom pracy wychowawczej, d) wyeliminować fałszywe formy „opieki” — prowadzenie studentów za rękę, formy maksymalnego ułatwiania w przyswajaniu materiału potrzebnego do egzaminów, — a oprócz nauczania na właściwie prowadzonych wykładach, ćwiczeniach i konsultacjach, e) zwrócić większą uwagę na treść nauki i jej mobilizujący wpływ na studentów.

Wśród wielu zagadnień poruszono również sprawę wzmocnienia in-

tensyjności prac naukowych - badawczych w uniwersytetach. W referatach, a szczególnie w toku dyskusji, podkreślono z całym naciskiem, że prowadzenie tych prac jest istotną funkcją uniwersytetów, że bez nich nie ma mowy o właściwym prowadzeniu nauczania, bez nich znika również wiele istotnych cech wychowania uniwersyteckiego. Bowiem atmosfera pracy badawczej panująca w katedrach i zakładach może wciągnąć studenta w nowy świat, jaki otwiera wiedza, może dać mu właściwy kierunek moralno - polityczny, jeżeli pokaże mu jak nauka otwiera drogę ludzkiego szczęścia, jak walczy cierpieniem, jak pomnaża siły ludzkie w walce z wyzyskiem, uciskiem, jak w walce z przyrodą zdobywa podstawy dobrobytu dla wszystkich. Bez pracy naukowej, bez pokazania studentom walki o zdobycie wiedzy, bez pokazania metod pracy badawczej — trudno uniknąć szkalowania i werbalizmu w nauczaniu.

W toku obrad niejednokrotnie mocno podkreślano nierozważalną jedność pracy naukowej, dydaktycznej i wychowawczej. Za mało mówiono na konferencji o młodzieży, o współpracy z ZMP, natomiast jasno wystąpił pogląd, że cele uniwersytetu mogą być osiągnięte tylko przy ścisłej współpracy kierownictwa uczelni, pracowników naukowych, organizacji partyjnej, związkowej i organizacji młodzieżowych. Mocno podkreślono w referacie min. Rapackiego teza o politycznej i wychowawczej ważności nauczania i treści nauki, przeciwnie dostrzegając poglądów o neutralności pracy naukowej i dydaktycznej, została potwierdzona wielu wypowiedziami,

wskazującymi, że przeniknęła ona do świadomości pracowników naukowych. Podobnie jak w nauczaniu chodzi nam o wyrobienie samodzielnego postawy wobec zagadnień naukowych, tak i w zakresie wychowania chodzi nam o ukształtowanie człowieka pełnego inicjatywy, który na każdym powierzonym mu odcinku pracy w budownictwie socjalizmu spełni swoje zadanie zgodnie z treścią epoki, a nie tylko formalnymi wymaganiami przepisów.

Zasadnicze warunki dla właściwego pokierowania pracą wychowawczą to: jedność oddziaływania wychowawczego wszystkich sił i instytucji działających w uniwersytecie pod kierownictwem politycznym organizacji partyjnej, nadanie nauce i nauczaniu właściwej treści politycznej, umiejętne wykorzystanie wpływu katedr ideologicznej i przepojenie materialistyczną treścią wszystkich przedmiotów, traktowanie dyscypliny studiów z ducha — jako środka pedagogicznego, a nie z litery — czysto formalistycznie. Podkreślano także wychowawczy wpływ autorytetu uczelni. A autorytet pracowników naukowych zdobywa sobie wynikami pracy naukowej i postawą społeczną.

Wnioski wysnuwne z tej dyskusji zmierzają do pogłębiania współpracy pracowników naukowych i kierownictwa uczelni z organizacjami działającymi na jej terenie, w kierunku zwrócenia większej uwagi na treść nauki i nauczania, na wciąganie młodzieży w tok pracy naukowej, na podniesienie poziomu naszej pracy w służbie pokoju i w służbie budownictwa socjalizmu, którego humanistyczne perspektywy pokazały w całej pełni wytyczne IX Plenum KC PZPR.

Kierownik Zakładu Chemii Organicznej Politechniki Warszawskiej — profesor Polaczkowa pracuje. Czujemy się nieco zakłopotani, że wizyta nasza jest tak „nie na czasie”, ale życzylibyśmy prof. Polaczkowej rozpraszania nasze obawy.

„Zaopatrzysz się w najniezbędniejsze wiadomości o zakładzie, udajemy się pod przewodnictwem profesora do sal laboratoryjnych.

Na drzwiach napis: „Wejście dozwolone tylko w miękkich pantoflach”. Kolega, który właśnie zmienia obuwie, zadrżnie ze złości na nasze buty. Ale my przecież jesteśmy gośćmi...

Jasna, obszerna sala wita nas ciekawymi spojrzeniami niezliczonych studentów manipulujących przy szklanych zestawach, na stołach — szeregi butelek, buteleczek i słoików, z wylotów rurek gazowych wypływa niebieskawy płomień. W probówkach bulgocą, przelewają się kolorowe ciecz.

Ale młodym „Twardowskim” nie towarzyszą tak charakterystyczne dla „alchemicznej kuchni” opary i kłęby dymu. Gazy i spaliny są natychmiast odprowadzane przez liczne wyciągi.

Przy jednym ze stołów kol. Krzysztof Skalmowski oczyszcza drogą destylacji octan etylu, uważnie śledząc skraplanie się pary. Sympatyczna asystentka pomaga w trudniejszych ćwiczeniach, sprawdza obliczenia i wyniki.

W innych salach podobny obraz: jasno i czysto, dużo wolnej przestrzeni, nowoczesna aparatura. Na korytarzach stoją szeregiem szklone szafy z chemikaliami. Profesor Polaczkowa opowiada nam o historii zakładu. W roku 1952 odbudowano go z gruzów i całkowicie wyposażono we wszelkie urządzenia laboratoryjne. Do użytku studentów oddano cenne przyrządy. Młodym chemikom stworzono jak najlepsze warunki do pracy naukowej.

W Zakładzie Anatomii Patologicznej warszawskiej AM asystenci w białych, lekarskich fartuchach lustrują pracownie przed mającymi się odbyć ćwiczeniami. W pracowni histopatologicznej лаборантка kol. Guzowska przygotowuje preparaty do badania histologicznego. Przerzą nas ilość identycznych flaszeczek ustawionych na długim stole. W rogu pokoju, na białej szafce stołowej, „AGA”. Od razu czujemy się różnie, jakoś mniej „patologicznie”.

Asystent Zakładu, dr Stefan Kruś, prowadzi nas do zwierzętarni. Po drodze sprawdza w termometrze hodowlę łkanek. Zaglądamy mu przez ramię: w aparacie równiutko pou-

UŻYWAĆ nie znaczy NISZCZYĆ

kładane, oznaczone różnymi znakami grzeją się... jajka.

Z bocznej sali mocno „pachnie wsią”. Zapach ten nie zgadza się z przeznaczeniem tego pomieszczenia, bo toczy się tu wielka, tragiczna walka o życie. Tu nauka jest bezlitosna. Zza drutów kłatek patrz na nas czerwone oczka królików i szczurów doświadczalnych.

Dr Andrzej Rosnowski dokonuje przeglądu zarażonych zwierząt. Trzyma właśnie w szczypcach szczurę z przeszczepionym rakiem.

Przechodzimy do muzeum Zakładu. Wielkie oszklone szafy kryją w sobie tysiące ludzkich niszczących. Tysiące wypadków, którym nauka wydała nieubłaganą bitwę.

Na eksponatach tych pracują studenci wszystkich lat Akademii Medycznej.

Nasz przewodnik, dr Kruś, objaśnia niektóre preparaty zastawiające nas precyzją swego wykonania. Część z nich jest wynikiem prac obecnych лаборантов Zakładu, są jednak także eksponaty liczące kilkadziesiąt lat i stanowiące jedynie tego rodzaju egzemplarze.

Młodziży studenckiej stworzono warunki, w których może bez przeszkód zdobywać wiedzę z każdej dziedziny. Udostępniono jej wszelkie pomoce naukowe.

Czy jednak młodzież ta właściwie wykorzystuje pomoc Państwa?

Można mieć wątpliwości...

Np. studenci Politechniki Warszawskiej... Laboratoria Zakładu Chemii Organicznej mają ograniczoną przepustowość. W związku z tym grupom ćwiczeniowym wyznaczono ściśle określone godziny zajęć. Nie są one jednak przestrzegane przez niektórych uczestników ćwiczeń, co pomimo surowych konsekwencji, wyciąganych w stosunku do opuszczających, powoduje zahamowania w realizacji programu studiów i nadmierne obciążenie zajęciami w okresach przedegzaminacyjnych.

Drugą bolączką Zakładu (niestety nie tylko na Politechnice Warszawskiej, ale prawie na wszystkich uczelniach) jest stosunek studentów do powierzonych im urządzeń.

Koszty potłuczonych probówek i uszkodzonych przyrządów wynoszą obecnie ok. 70.000 zł. Kilkakrotnie przewyższyły one najbardziej pesymistyczne przewidywania Zakładu Chemii Organicznej PW i w tej

chwili jego kierownictwo stanęło przed zagadnieniem ogromnego deficytu.

Lekkomyślność studentów jest zadziwiająca.

Np. kol. Jerzy Zebrowski z III r. chemii PW, gdy zastanawialiśmy się gdzie leżą przyczyny tego marnotrawstwa, wyjaśnił krótko: „Cóż, szkło ma tę właściwość, że się tłucze”.

To prawda, ale prawda i to, że tłucze się przeważnie przez nieuwagę, przez lekkomyślność, która nie daje się pogodzić z socjalistycznym stosunkiem do mienia społecznego.

Smutne przykłady mamy też z Akademii Medycznej. Niszczenie preparatów, które лаборанцы Zakładu wykonują w ciągu wielu godzin żmudnej pracy, jest na porządku dziennym; zdarzają się jednak gorsze wypadki — niejednokrotnie z rozdanych na ćwiczeniach tysięcy preparatów — do rąk asystentów

wraca zaledwie pięćset — reszta ginie bezpowrotnie.

Ponieważ wypadki te mają miejsce przeważnie w okresie przedegzaminacyjnym — asystenci przypuszczają, że „przedsiębiorczy” studenci zabierają eksponaty do domów celem ich dokładnego przestudiowania.

Czy studenci ci zastanowili się jednak z czego mają przygotować się do egzaminu ich uczciami kolegów?

Czy pomyśleli kiedykolwiek co zostanie w Zakładzie po roku ich studiów?

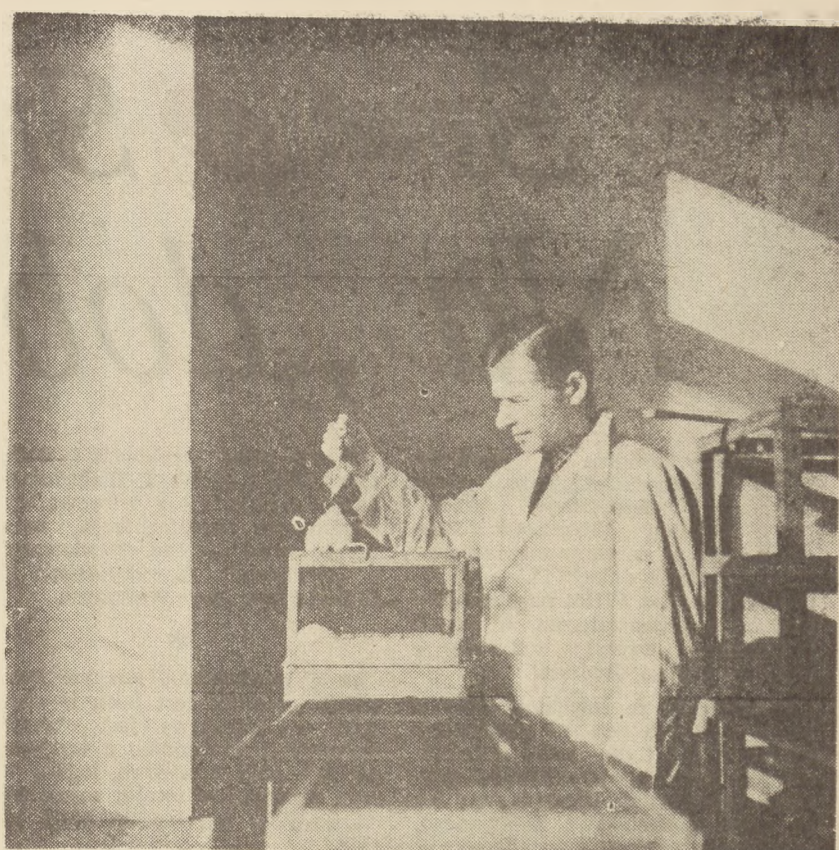
Organizacje młodzieżowe na uczelniach dotychczas nie zajęły się tymi sprawami.

A sprawy te są palące.

Studenci powinni umieć właściwie wykorzystywać pomoc Państwa.

Nie wolno dopuścić do marnowania społecznych funduszy.

B. KRĘCIELEWSKA



Asystent dr Andrzej Rosnowski dokonuje przeglądu zwierząt zarażonych. Foto A. Musiał

POKROZYWY

EDMUND GONCZARSKI

ilustr. JERZY KARCZ

Głazowego właśnie Szczapa?

(Powiastka niekoniecznie wesoła)

Jednak po wyjściu świeżo upieczonego organizatora, Klimka zreflektował się. Może zbyt pochopnie postąpił. — Nie szkodzi — uspokoił się w duchu. Sprawdzaj jeszcze. Zobacz się w „praniu”. Potem zapomniał o danej sobie obietnicy. Bo człowiek ma tak dużo pracy...



I odtąd plastyczna wizja drugiej grupy rysowała się zawsze w wyobraźni Klimka jako:

1) gromada zetempowców siedzących w ławkach, wsłuchanych (wszyscy jak jeden mąż) w mowę.

2) a Janek Szczapa stojący przy stoliku i klarujący coś zebrawym.

Nawet trudno powiedzieć czy był to obraz realny, zaobserwowany, zacierpnięty z rzeczywistości, czy wymagany?... Bo nie wiadomo czy Klimka kiedyś odwiedził grupę. Wiadomo nam jednak, że w kilka miesięcy po назначении Szczapy, zagadnął Halskiego z drugiej grupy:

— Jak wam idzie? (Niby o pracę grupy i jej organizatora Szczapę). A gdy Halski nie od razu odpowiedział — dodał: — Idzie jakoś, prawda?

BOGDAN BRZEZIŃSKI

CZŁOWIEK-kolegium

Kolega Stefan Ciacek zastukał ołówkiem w stół i powiedział podniesionym głosem:

— Otwieram zebranie kolegium redakcyjnego gazetki ściennej SGSZ, ukazującej się niekiedy pod tytułem „Nasz Głos”. Zastanawiam się, o czym by tu napisać wstępny artykuł? Sądę, że chyba o konferencji berlińskiej. Tak! Artykuł wstępny damy o konferencji berlińskiej; Podpiszemy go: Od redakcji. Materiały znajdzie w dziennikach, więc artykuł będzie rzeczywiste od redakcji — i to od kilku na raz...

Kol. Ciacek odchrząknął i ciągnął dalej:

— A o czym by napisać drugi artykuł?

Zgrabnie zmienił głos i sam sobie odpowiedział głębokim basem:

— Ja myślę, kolego Ciacek, że warto napisać artykuł o egzaminach. Jak się udają, jaki był procent studentów źle przygotowanych i tak dalej...

— Dobra myśl — pochwalił kol. Ciacek swym normalnym głosem.

— A ktoś napisze ten artykuł?

I odpowiedział sobie basem:

— Oczywiście — wy, kolego Ciacek. Podpiszecie go pełnym imieniem i nazwiskiem.

— Pseudonim powinien być w tym wypadku dosyć filuterny — zauważył nie bez szorstkości baryton — Jak się wam podoba „Stefek z Warszawy”?

— Wyborny pseudonim dla satyryka! Tak podpiszę, koleddy.

Kolegium trwało jeszcze dobre pół godziny. Odzywało się wiele głosów — od fałsetu do basu. Kol. Ciacek okazywał w operowaniu głosem zdolności nie mniejsze, niż słowna śpiewaczka Yma Sumac.

Gdy omówił z wyimaginowanym kolegium treść gazetki, spytał jeszcze:

— A kto opracuje stronę grajczną?

— Nie ciackajmy się z rysunkami! — zawołał bas. — Wy, kolego Ciacek!

W trzy dni później ukazał się w gablocie nowy numer „Naszego Głosu”. Niektórzy studenci zatrzymywali się na chwilę i rzucali okiem na nowe dzieło uniwersalnego redaktora.

— Jest coś ciekawego? — pytano czytających.

— Nic specjalnego — odpowiadał. — Ale co się dzieje? Jeden jedyny człowiek nie może napisać ciekawej gazetki! Szkoda tylko, że tytuł naszej gazetki jest zupełnie niestuszny...

— Dlaczego?

— Proste! Zamiast „Nasz Głos”, powinno być: „Jego Głos”, albo w ogóle: „Głos Ciacka”!

P. S.

Czyja wina? Czy tylko kol. Ciacka.

Na podstawie koresp. kol. St. Matoska, SGSZ — Warszawa.

zowany pogląd na temat tego, kto powinien być wybrany, chociaż ma się rozumieć, broni Boże nie wolno mu tego poglądu narzucać. A Klimek był wprost zdania, że nie trzeba szukać, że Szczapa jest tym nienajgorszym kandydatem na przewodniczącego koła. (Nienajgorszym, tak się właśnie wyraził).

— A co ty właściwie masz przeciwko Szczapie? — zapytał oponenta Majski, gdy ten mu się zwierzył ze swych wątpliwości.

Oponent się zastanowił i szybko w pamięci przerzucił wszelkiego rodzaju kategorie złych aktywistów. Kacyk? Nie, kacykiem trudno nazwać Szczapę. Nie był też biurokratą bezmyślnym, ani „wielbłądem”, ani już tym bardziej nie był chuliganem czy bumelanem, dwulicowcem chyba też nie. I nie znajdując odpowiedniej grupy, do której mógłby zakwalifikować Szczapę, ograniczył się tylko do ogólnikowego filozoficznego określenia.

— Szumu robi dużo, a roboty nie widać.

Przewodniczący spieszył się: — Konkretnej i konstruktywnej — rzekł.

— On jest mało inteligentny — zaryzykował jeszcze oponent.

— Też mi żart — uśmiechnął się lekceważąco Majski. — A macie kogoś odpowiedniejszego?... No właśnie, zresztą podyskutujcie sobie na kole.

Na kole dyskutowano. Zgodnie ze zwyczajem prowadzący zebranie zapytał się, czy ktoś ma coś przeciwko kandydaturze Szczapy. Była to czcza formalność. O tym wszyscy wiedzieli. Bo jedynym i wyłącznym kandydatem na przewodniczącego był właśnie Szczapa. Ale oto stała się rzecz niespodziewana. Wystąpił ktoś z grupy, która kiedyś prowadził Szczapę, i powiedział te oto słowa:

— Jeśli nikt nie ma „przeciw” — to ja mam „za”... moim zdaniem Szczapa jest jednak za mało inteligentny, za mało zdolny, za mało mądry, by być przewodniczącym koła.

W czasie burzliwej dyskusji Klimek powiedział, że to jest wydzwianie, bo jakiej tu mądrości potrzeba by być przewodniczącym koła.

Sam Szczapa stwierdził, że on rozumie... że on nie chciał, że go popychano — mówiąc to patrzył często w stronę Klimka.

Kandydaturę Szczapy odrzucono. Klimek draapał się w głowę i był do końca nieprzekonany:

— Przecież to czysty przypadek, gdyby nie niefortunne wystąpienie kolegi z grupy Szczapy, Szczapa na pewno by został przewodniczącym Koła, wszedł do Zarządu Uczelnianego, a kto wie, może i wyżej...



IX DS ma tylko tradycje...

W IX DS przy ul. Wrocławskiej mieszkali przodownicy nauki i pracy społecznej Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Dom ten cieszył się opinią wzorowego DS.

Od 2 lat w jasnym, wygodnym budynku mieszkają studenci wszystkich wydziałów gliwickiej uczelni. Pokoje są przestronne, przeważnie trzy lub czterospobowe; obiektywnie są warunkiem ku temu, aby mieszkanki IX DS czuły się tu jak najlepiej.

Ale czy tak jest naprawdę?

Wędrowkę po IX DS zaczniemy od parteru.

Pokój nr 2 — to pokój nauki. Całe jego wyposażenie składa się z kilku stolików i taboretów, na ścianie — portret, dwa inne porzucone na jednym ze stołów. W pokoju zastajemy 3 studentki, Wandę Izdebską z I roku magisterskiego chemii, Zuzię Kaszubę i Bognę Kozak z II roku wydziału elektrycznego. Usiłują się uczyć.

W pokoju jest zimno. Na dworze — 20 st. C. Pod piecem sterta rozsypanego węgla, studentki siedzą w płaszczach i rękawiczkach. Widocznie sprzątaczką „zapomniała” napalić w piecu, mimo iż należy to do jej obowiązków.

Z przewodniczącą Rady Mieszkańców kol. Zawadzką udajemy się do pokoju. W „dziesiątce” hula wiatr. Szpary w okiennicach i drzwiach wyrównują temperaturę pokoju z temperaturą korytarza.

— Dobrze — mówią mieszkanki tego „przytulnego” pokoju — że zatkałyśmy papierem dziurę w ścianie do łazienki, jest chociaż trochę ciepłej...

W pokoju nr 21 zastajemy „artystyczny” nielad. Komentarz byłby zbyt długim, gdyby nie oplakany stan zwałowej z jednego boku szafy, która zatliła się od pieca w czasie nieobecności mieszkanki w pokoju. Mieszka tutaj członka KOMISJI CZYSTOŚCI, kol. Teresa Niedzielska...

Widok kuchni należącej do pokoi 40, 41, 42 już nas nie zaskakuje: obok zimnego pieca sterta popiołu, skorupek po jajkach i odpadków jedzenia...

Co zobaczymy w dalszej wędrowce?

Pod „13-tką” wysłuchujemy skarg mieszkanki, które od kilku miesięcy proszą o wstawienie do pokoju drugiej szafy. Jedna szafa na 6 osób to rzeczywiście za mało, biorąc pod uwagę fakt, że w pokoju — podobnie, jak i w wielu innych — nie ma etażerki lub regału na książki. Można by co prawda pomóc koleżankom z pokoju nr 13, remontując tanim kosztem szafę stojącą nieużytkownie w jednej z kuchni na III piętrze w tym samym budynku. Ale o tym nikt dotąd nie pomyślał.

Z życiem świetlicowym w IX DS jest podobnie jak z „biblioteką” ruchomą znajdującą się w akademiku. Jedynym przejawem pierwszego jest wydawanie „Świątecznych” gazetek ściennych, a biblioteka — składa się z... 15 tomów!

Gdyby któraś z mieszkanki IX DS skaleczyła się w palec lub potrzebowała chinosolu do płukania gardła, nie miałaby do swych koleżanek najmniejszych pretensji, że nie pomogły jej w natychmiastowym zdobyciu potrzebnych specyfików czy środków opatrunkowych. Po prostu dlatego, że szafka mieszcząca podręczną apteczkę jest pusta.

W IX DS mieszka ponad 100 studentek...

Jak na te braki i niedbalstwo reaguje Rada Mieszkańców?

Nasza Rada Mieszkańców d z i a ł a — mówi przewodnicząca kol. Zawadzka. — Staramy się likwidować braki. Nie wszędzie jest tak źle... Są przecież pokoje, w których panuje wzorowy porządek. Weźmy na przykład taką „18-tkę”, w której mieszkają chemiczki z III roku, czy też „12-tkę”, zamieszkałą przez energetyczki... Robimy co się da!

Czy rzeczywiście tak? Wątpimy! Trzeba po prostu natychmiast działać, trzeba zlikwidować wszystkie niedociągnięcia. Począwszy od ożywienia pracy Rady Mieszkańców, a skończywszy na uzupełnieniu szpary w pokojach.

Władze Politechniki Śląskiej, organizacje młodzieżowe i Ekspozytura ZOA winny wykaazać więcej troski o warunki bytowe koleżanek mieszkających przy ul. Wrocławskiej.

IX DS ma piękne tradycje przodującego akademika.

Dobrych tradycji — aprzetynować nie wolno, trzeba je kontynuować.

ZBIGNIEW SWOBODA

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”
Redakcja kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wileńska 17,1. Telefon: red. 84124. Centrala — 83291.
Numeracja: w urzędzie pocztowym odbieramy miesięczną zapłatę za subskrypcję.
Konto PKO nr 1-3903 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następnego. Wpłaty: 140 kwartał — 420 półrocznie — 840 rocznie — 1680.
Administracja: RSW „Prasa” III Delegatura Warszawa ul. Marszałkowska 8 tel. 80711.
Drukarnia: RSW „Prasa” Warszawa Marszałkowska 3/5.
5-B-12651

Na „dobrze“

Tatry, zgodnie z tradycją ubiegłych lat, gościnie przyjeżdżających uczestników Akademickich Mistrzostw Polski w narciarstwie rozegranych w dniach 13 — 17. II. 1954 r. I chociaż PIHM na złość narciarzom i organizatorom, a nawet przyrodzie „wrożył“ zadymkę i mgły — pogoda dopisała!

Gorzej było ze śniegiem, który z braku świeżych opadów przekształcił się w lód i dla mniej doświadczonych narciarzy przedstawiał groźnego przeciwnika. Cieszyli się z tego tylko azetysiaczy z Zakopanego, posiadający większe doświadczenie w technice jazdy, która w wypadku oblodzenia tras zwiększała ich szanse na osiągnięcie dobrych wyników. Tak też się stało. Narciarze AZS-Zakopane wygrali IV AMP w konkurencji zespołowej (775,5 pkt.), wyprzedzając swojego „rywala“ AZS — Kraków o 308,3 pkt.(!) a AZS — Warszawę o 533,5 pkt. (!!).

*

Zakopane! Z wagonu pociągu dalekobieżnego wysiadła grupa roześmianych młodych ludzi, po których ubiorze i emblematkach AZS można było domyślić się, że są to uczestnicy mistrzostw. Na dworcu spotkali się z grupką podobnie ubranych narciarzy, tylko, że w zupełnie innym nastroju — posepnych, z nosami na „kwintę“, zazdrośnie przyglądających się świeżo przyjeżdżnym.

— A wy dokąd, koledzy? — padło pytanie.

— Do domu — brzmiała odpowiedź.

Co się okazało? Poważna część okolicznych jak AZS Warszawa, Kraków (a więc największe i najsilniejsze) mimo wielokrotnych upomnień zlekceważyła regulamin mistrzostw przysyłając zawodników nie uprawnionych do startu, bez legitymacji SPO, legitymacji klasyfikacyjnych, oraz innych niezbędnych dokumentów.

Wśród nich był nawet kol. Grochowski — kierownik sekcji narciarskiej AZS-Warszawa (sic!).

Dobra nauczka na przyszłość — zawody na szczeblu centralnym to nie zabawa i nie wczasy, ale trudna, wyczerpująca walka o prymat sportowy. Nie można tu dopuścić zawodników, którzy nie są do tego dostatecznie przygotowani, gdyż stanowi to poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia.

Trzeba wziąć przykład z zawodników AZS Lublina i Białegostoku, którzy przyjechali z wzorowo uporządkowaną dokumentacją, mimo że nie mają takiego doświadczenia i „oblatania“ zawodniczego jak AZS-Kraków czy Warszawa.

*

Dość powszechnie znanym szczegółem geografii jest fakt, że okrug AZS — Warszawa jest okrugiem nizinnym i że zgodnie z wytycznymi ZG AZS i zdrową logiką winien rozwijać w swojej sekcji narciarskiej — narciarskie biegi płaskie.

Cóż, kiedy koledzy z Warszawy, postanowili zaprzeczyć geografii (robili to co prawda z konsekwencją już przez parę lat) i na IV AMP nie potrafili wystawić ani jednej sztafety kobiet i mężczyzn, ani jednej kobiety do biegu płaskiego na 10 km i tylko 3 zawodników do biegu płaskiego mężczyzn, w tym jednego górala spod Żywca, studiującego w Warszawie.

W konkurencjach zjazdowych natomiast roilo się od „zjazdowców“ z Warszawy, spośród których większość (np. kol. Karczewski Witold) swój pierwszy trening zjazdowy na śniegu w bieżącym sezonie zimowym odbyła na... dwa dni przed zawodami.

A więc wszystko na opak. Zamiast biegów — zjazdy. Zamiast solidnego przygotowania — start bez żadnego przygotowania. Zamiast dobrych wyników — kompromitujące, przeważnie ostatnie miejsca w zjeździe i slalomach. Zamiast radości i zadowolenia ze startu w zawodach — kontuzje (m. in. kontuzjowany jest i kol. Karczewski) i gorczy z porażek. „Dzielnie“ dotrzymywali im kroku tego samego pokroju zjazdowcy z Łodzi, z Gliwic i ze Stalinogrodu.

Co na to ZG AZS — który już złożył przecież dziesiątki deklaracji w sprawie zmiany swojej polityki jeżeli chodzi o narciarstwo nizinne? Jak długo jeszcze będziemy świadkami tego, że na przeszło 2 tys. studentów Warszawy, Łodzi, Stalinogrodu, czy Wrocławia, AZS nie jest w stanie przygotować stojących na dobrym poziomie sportowym — reprezentacji w biegach płaskich mężczyzn i kobiet?

*

Zupełnie inaczej zaprezentowały się na Mistrzostwach okrugów AZS-Białystok, Częstochowa i Olsztyn,

z których przyjechali tylko biegacze. I chociaż kolegom z tych środowisk z małymi wyjątkami — Szpara (Częstochowa) 6 miejsce w biegu na 15 km, Grycz (Olsztyn) 7 miejsce w tym samym biegu, Cieślars (Olsztyn) 8 miejsce w kombinacji norweskiej — nie udało się z powodu braku doświadczenia i rutyny pokonać „repów“ z Zakopanego czy Krakowa, to jednak ich postawa dowodzi, że w najbliższym czasie staną się poważnymi kandydatami do czołówek w narciarstwie nizinnym studentów.

*

Komitet Organizacyjny Mistrzostw przy pomocy ofiarnego aktywu AZS — Zakopane z mgr Fischerelem i kol. Lutkiem na czele oraz ekipy żołnierzy — łącznościowców z miejscowej jednostki i sędziów pod kierownictwem mgr Pękys i mjr Bur-guli zwycięsko wygrali bój o sprawne zorganizowanie zawodów i wiele włożyli w to wysiłku i troskliwości. Ale troska ta po stokroć się opłaciła — przeszło 180 młodych narciarzy miało możliwość w trzyna-dniowych walkach sprawdzić swój poziom sportowy, skorzystać z doświadczeń lepszych od siebie sportowców, nabrać zapалу do dalszej uporczywej pracy nad stałym podnoszeniem swoich umiejętności sportowych.

Całość mistrzostw należy ocenić na „dobrze“.

ANDRZEJ KOSSAK

O studenckim hokeju

JERZY ZARZYCKI
trener sekcji hokeja lodowego
ZG AZS

Hokej lodowy — to obok narciarstwa — sport, w którym nasi akademicy święcili największe triumfy na arenie międzynarodowej. Tradycja „Wielkiej Szóstki“ warszawskiego AZS-u jeszcze do dzisiaj jest tematem dyskusji w świecie hokejowym nie tylko w kraju, ale i za granicą, o czym przekonałem się podczas ostatnich Akademickich Mistrzostw Świata w Wiedniu, gdzie cały szereg czołowych, ongiś graczy austriackich interesował się losem tej doskonałej na ówczesne czasy polskiej drużyny hokejowej. Nie dziwnego — tytuł akademickiego mistrza świata zdobyty w roku 1928 w Cortina d'Ampezzo, dwukrotne mistrzostwo Europy w tej dyscyplinie w latach 1929 i 1931 — były przecież i są do dzisiaj największymi osiągnięciami polskiego hokeja, a autorami ich byli właśnie warszawscy akademicy, dzielący przez dziesięć lat z rzędu tytuł mistrza Polski. W okresie tym nie przegrali oni żadnego spotkania z zespołem krajowym, co jest rekordem trudnym do pobicia. Pobili ich dopiero w roku 1933 sanacyjna „opieka“ nad sportem. Wtedy bowiem — żyjącym z „zebrani“ u bonzów sanacyjnych akademikom odmówiono dalszych subwencji, by w drodze nacisku finansowego uzyskać zmianę oblicza politycznego sportu akademickiego — w wyniku czego zabrakło pieniędzy na wyjazd na turniej finałowy i po 10 latach tytuł mistrzowski warszawscy akademicy oddali bez walki! Tak wywdzięczyła się sanacja tym, którzy przez szereg lat rozślawiali hokej polski na lodowiskach europejskich.

Jakże zupełnie inaczej wyglądają te sprawy dzisiaj. Każdy student może w pełni korzystać ze sprzętu hokejowego i lodowisk, które znajdują się do jego dyspozycji w każdym większym środowisku akademickim. Może szkolić się pod okiem najlepszych trenerów i instruktorów. Odpada całkowicie troska o podstawy finansowe. W tych warunkach hokej lodowy — sport, który ze względu na swoją specyfikę gry wybitnie „myślowy“ — specjalnie odpowiada środowisku akademickiemu, po-

winien się wśród młodzieży akademickiej rozwijać znakomicie. Niestety — tak nie jest. Prawda, że z roku na rok zwiększamy stale swój stan posiadania na odcinku lodowisk i sprzętu. W sezonie bieżącym ruszyły ośrodki hokejowe w Olsztynie i Krakowie, ale te osiągnięcia bynajmniej nie idą w parze ze wzrostem poziomu naszego hokeja w skali ogólnokrajowej, a przynajmniej nie jest on tak duży, jakiego mają prawo żądać od nas nasze władze zwierzchnie. Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest przede wszystkim niedostateczna propaganda tego sportu na uczelniach. Cały szereg chętnych i talentowanych jednostek nie trafia do właściwego zrzeszenia. Zrywając przez czas studiów z hokejem, względnie uprawiając go dorywczo — nie w barwach AZS. Niedostateczna jest również opieka nad podopiecznymi SKS-ami. Konsekwencją tego są nieliczne szeregi hokeistów AZS, co wpływa ujemnie na ich dążność do stałego doskonalenia w celu utrzymania się w składzie reprezentacyjnym swego koła. „Jestem i tak dobry, gdyż nie ma ode mnie lepszego“ — ta dewiza kieruje się większość naszych hokeistów, zaniebując treningi. Żywym przykładem mogą tu służyć hokeiści koła przy Politechnice Warszawskiej, którzy w grudniu i na początku stycznia br. trenowali regularnie w pełnym składzie odnosząc sukcesy — obecnie spoczęli na laurach. Nieuzasadniona pewność siebie i zaniebanie treningów złożyły się na to, że w końcowej fazie rozgrywek zawiodły siły i nerwy i zamiast walczyć o wejście do Ligi Państwowej — warszawscy akademicy wyładowali dopiero na trzecim miejscu w okręgu.

Sytuacja nie wygląda lepiej i w pozostałych silniejszych okręgach. Studenti WSE ze Stalinogrodu — reprezentujący nasz pion w Lidze Państwowej, mimo wyraźnych postępów w stosunku do roku ubiegłego, są jeszcze za słabi, aby się w niej utrzymać. W obawie o wysokocyfrowe porażki trzymają się oni kureczowo szczupłej grupki zawodników, nie szkoląc w bojach ligowych młodych rezerw.

Zeszłoroczny mistrz AMP — AZS Poznań bazuje również na zawodnikach starszej generacji. Słowem nasze akademickie zespoły hokejowe idą w swej pracy po linii jak najmniejszego oporu, nie wkładając żadnego wysiłku dla zmobilizowania szerszych kadr. Z tym stylem pracy trzeba zerwać raz na zawsze.

Właściwa opieka nad SKS-ami szkół ogólnokształcących, zwiększenie stanu ilościowego sekcji hokeja lodowego poprzez stałą propagandę tego sportu na uczelniach, rzetelna i systematyczna praca zawodników i kadry instruktorów-trenerów w ciągu całego roku — oto podstawowe warunki, na których powinniśmy budować hokej akademicki.



Ta sympatyczna dziewczyna to — Jadzia Rajche z Krakowa, najlepsza biegaczka mistrzostw.



IV Akademickie Mistrzostwa Polski rozpoczęły! Ze stadionu pod Krokową wyrusza sztafeta męska 4x10 km.



Wojtek Obrochta dzielnie trzymał się na muldach Nosala i dlatego był najlepszy w biegu zjazdowym.

Anka Bujak — Waga mistrzyni biegu zjazdowego kobiet i wicemistrzyni biegu zjazdowego... mężczyźn. Anka na męskiej trasie osiągnęła drugi czarny dzień i „wkosiła“ 47 chłopcom.



Zdjęcia Wł. Werner

Tak wygląda po tamtej stronie

Bob Matthias nokautuje amerykański futbol

Bob Matthias to nie byle kto. To najlepszy wiołobista świata, dwukrotny mistrz olimpijski w dziesięcioboju na ostatnich Olimpiadach w Londynie i Helsinkach. A ponadto — jeden z najlepszych graczy USA w amerykańskiej piłce nożnej, grający od wielu lat w drużynie uniwersyteckiej w Stanford. Nie dziwnego, że był najpopularniejszym sportowcem w całych Stanach Zjednoczonych.

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie wywołało jego oświadczenie złożone w sierpniu ub. roku, że nieodwołalnie porzuci piłkę nożną. Jeszcze więcej zamieszania narobił jego artykuł zamieszczony w piśmie „Parade“, w którym Matthias podał przyczynę swojej decyzji. Reakcyjna „New York Herald Tribune“ musiała przyznać, że zarzuty pod adresem amerykańskiej studenckiej piłki nożnej ze strony światowej sławy sportowca, jakim jest Bob Matthias — to prawdziwy cios, który wielu odebrał oddech.

A oto co m. in. mistrz olimpijski pisał w „Parade“: „W naszej piłce nożnej nie nie pozostało ze sportu. Przed każdym spotkaniem trenerzy specjalnie nastawiają swoich graczy na zawodników przeciwniej strony. W wyniku odpowiednich instrukcji gra przeistacza się w prawdziwe polowanie, którego celem jest umyślne uszkodzenie ciała. Już to jedno oznacza koniec naszej piłki nożnej. Jako sport. Trenerzy są materialnie zainteresowani w wyniku spotkań. Stąd — dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę. Stąd — smutny rekord złamanych rąk i nóg, jakimi „szczylić się“ ta dyscyplina sportu. Co rok liczne dziesiątki studentów-pilkarzy stają się kalekami. Matthias wymienia wiele nazwisk studentów, którzy w następstwie wypadków na boiskach zostali kalekami na całe życie. Przekleństwem studenckiego piłkarstwa jest coraz bardziej potęgające się zawodowstwo. Jak pogodzić sport z nauką skoro zajęcia treningowe w najgorętszych okresach dochodzą do 17 godzin na dobę?“

Wystąpienie Matthiasa spowodowało liczne napaści na niego ze strony sprzecznej prasy i macherów sportowych.

Mistrz olimpijski nie ułaskił się nagonką i zwrócił się do 293 prezydentów wyższych uczelni USA z prośbą o zajęcie stanowiska co do jego artykułu. Charakterystyczne, że prezydenci największych uczelni (najbardziej uzależnionych od wielkiego kapitału. W Stanach Zjednoczonych uniwersytety są prywatne) nabrali wody w usta. Jednakże około stu prezydentów mniejszych uczelni solidaryzowało się całkowicie z oceną studenckiego futbolu dokonaną przez Matthiasa. Carter Davidson z Union College w swojej odpowiedzi napisał: „Mój syn doszedł do takich samych wniosków. On również był miłośnikiem piłki nożnej, ale porzucił ją, widząc, że studencki futbol stracił swoje dobre strony“.

Harland Hatcher z Michigan University uważa, że sytuacja ta nie jest wynikiem działania pojedynczych graczy, czy nawet całych drużyn, lecz wypływa z warunków, jakie kultywuje się w tej dyscyplinie sportu w USA. Honse z uniwersytetu stanu Północna Karolina podziela całkowicie stanowisko Matthiasa. Uważa, że studencki-pilkarze podlegają bezwzględnej eksploatacji. Prezydent Narodowego Sportowego Zrzeszenia Wyzszych Uczelni USA i przewodniczący fakultetu sportu na uniwersytecie w Alabamie oficjalnie oświadczył, że należało by zaprzestać rozgrywek piłkarskich na uczelniach dopóki amerykańska piłka nożna nie zostanie oczyszczona z obłudy i oszukaństwa.

Powyższe oświadczenie wywołało burzę wśród „działaczy“ sportowych, niemniej jednak na łamach prasy ukazało się wiele głosów stwierdzających, że wszechwładny „business“ opanował sport amerykański, nie oszczędzając studenckiego.

Dolarowy kapitał zagania pod swoje panowanie wszystkie dziedziny życia. Taki już ma nienasycony apetyt.

JE2.



Głośnym echem odbiły się w całym świecie ogromne sukcesy narciarzy i narciarek ZSRR w Mistrzostwach Świata w Falun.

Wyniki reprezentantów Związku Radzieckiego w konkurencjach biegowych „FIS“ 1954, które stały na najwyższym poziomie z dotychczas rozgrywanych, przekroczyły najsmielšie oczekiwania.

Reprezentanci ZSRR przełamali długolętną hegemonię Skandynawów, zdobywając cztery tytuły mistrzowskie — 4 złote i 1 srebrny medal, wyprzedzając takie potęgi jak: Finlandię z trzema złotymi medalami, Norwegię z jednym złotym i całą plejadę Szwedów.

Ekipa radziecka wykazała bardzo wysoki i wyrównany poziom. Dzięki wspaniałej postawie sportowej reprezentacji radzieckiej stali się ulubieńcami w Falun

tak wśród swych rywali jak i tysięcy widzów. Ich kwatery w Humlesbacken były miejscem wielu serdecznych i przyjacielskich spotkań z reprezentantami różnych krajów.

Największą rewelacją XIII Mistrzostw był dwukrotny zwycięzca mistrza olimpijskiego Hakulien na dystansach 30 i 50 km — 24-letni student Lenin-grodzkiego Instytutu Pedagogicznego Włodzimierz Kuzin, nazwany w Falun „Zatopkiem śnieżnych tras“. Wśród reprezentantek radzieckich, które zdobyły dwa złote medale w sztafecie 3 x 5 km i biegu 10 km, największą popularnością cieszyły się dwie studentki — bohaterka sztafety — Carewa i mistrzyni świata w biegu na 10 km — Lubow Kozryewa.

J. S.

Notes SPORTOWCA AZS

Kiedy radiowęzeł w naszym akademiku rozpoczął transmisję ogólnopolskich wiadomości sportowych — Jurek, student Politechniki, na codzienny poważny i opanowany, oderwał się raptownie od stołu, na którym coś kreślił, skończył na szafce, żeby być bliżej głośnika i zastygł tam w dziwacznej pozie.

Od tej chwili pokój stał się widownią zdumiewających zdarzeń.

Po słowach speakera, donoszących o zwycięstwie koszykarzy AZS AWF nad Spójnią Łódź 70:38, Jurek uczynił gest, jakby chciał czule przycisnąć głośnik do serca.

Dalsze wiadomości o sukcesach drużyny AZS: Gliwici, Lublina, Warszawy i Poznania, w meczach o prawo uczestni-

czenia w finałowych rozgrywkach eliminacji do klasy wydziałowej siatkówki, przyniosły nieoczekiwaną reakcję.

Jurek drgnął i runął z dzikim wrzaskiem z szafy na podłogę, gdzie odtańczył jakąś dziwną stylizację, będącą połączeniem swego rodzaju obręba z wojennym tańcem plemienia Kamanczów.

Tej żywiołowej radości mego przyjaciela nie zdołały zatrąć dalsze wiadomości w rodzaju trzykrotniej porażki w jednym tylko tygodniu hokeistów AZS Stalinogrod z Gwardią Bydgoszcz i Włocławkiem Łódź (przy czym bilans strzelonych AZS-ianom bramek zamyka się w cyfrach jak na hokej niemal astronomicznych).

Wytrąciła go dopiero z tej sportowej ekstazy wiadomość zgola nieoczekiwana, a upajająca szczęściem:

— Koszykarze AZS PW wygrali w Łodzi z Ogniem 40:38!

Nieprzygotowany kondycyjnie i psychicznie nieszczyśnię kibic chimerycznej drużyny zemścił z nadmiaru wzruszenia i radości, po czym pozwolił się uloczyć na łożu.

Całe szczęście, że się tak stało, bo dalsze wiadomości były w „neregularnej kratce“. Jak AZS Toruń pokonał w meczu drugiej ligi koszykówki Kolejarz Gdańsk, to AZS AWF przegrał z Kolejarzem Toruń, jak AZS Szczecin przegrał z Kolejarzem Ostrow, to AZS Wrocław uczynił to samo z Górnikami Zabrze.

Popatrzyłem na zemłodnego Jurka, i postanowiłem wystosować w niniejszym felietonie apel do wszystkich drużyn i sportowców-studentów:

„Koledzy! Szanujcie zdrowie swoich kibiców!“

(za)